NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. Kraków, 10 października 1908 Nr. 41

Wykrycie tajnej drukarni w Warszawie.

(Treść na str. 2



OD WYDAWNICTWA. Dla wygody P. T. Prenumeratorów naszych we Lwowie otwieramy tam z dniem 15-go października 1908 roku

Filię Redakcyi i Administracyi „Nowości Illustrowanych“

Filia lwowska przyjmować będzie przedpłatę na pismo i anonse, sprzedawać pojedyncze egzemplarze pisma — słowem załatwiać na miejscu wszelkie sprawy administracyjne i redakcyjne. Kierownikiem Filii lwowskiej będzie p. Zdzisław Tranda, współredaktor »Nowości illustrowanych«.

Adres biura Filii: Lwów, ulica Pańska L. 11, I. piętro.

Wykrycie tajnej drukarni w Warszawie.

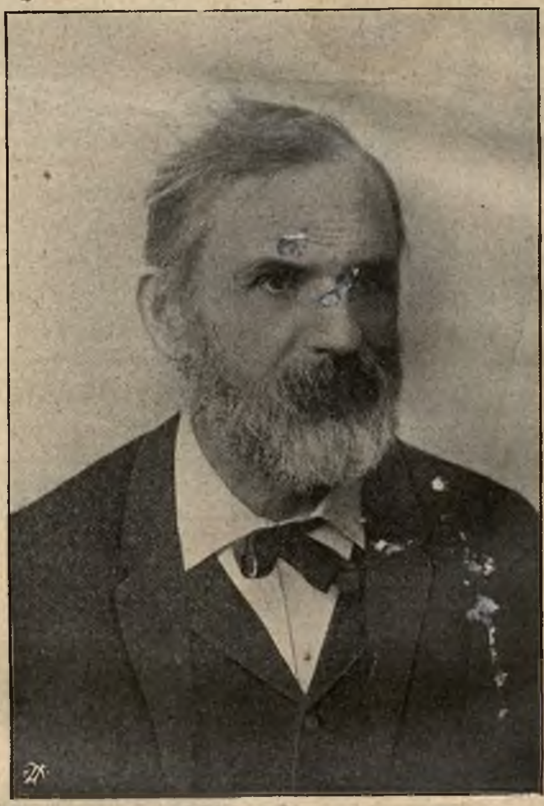
(Do illustracyi tytułowej).

Policya warszawska starała się już od dawna wynaleźć główną drukarnię, skąd rozchodziły się po całem Królestwie pisma socyalistyczne, proklamacye i ulotne broszury. Kilka mniejszych drukarń w ostatnich czasach odkryto i zamknięto — główna atoli pozostała ciągle czynną, zarzucając całą Warszawę i Królestwo swemi wydawnictwami. Dopiero w ubiegłym tygodniu udało się policyi wpaść na właściwe ślady, a po nitce do kłębka, doszli i do miejsca, gdzie była umieszczona.

W domu handlowym firmy Tomaszewskiego, przy ulicy Foksal odkryli ajenci „ochrany“ biuro i centralny skład wydawnictw P. P. S. W piwnicy domu znaleziono dużą drukarnię w pełnym ruchu, poruszaną motorem elektrycznym. Aby stukot maszyn nie przedostawał się na zewnątrz, ściany piwnicy wyłożone były grubą warstwą „wojłoku“. W chwili, gdy wkroczono do drukarni, praca wrzała w najlepsze, w lokalu aresztowano też dwie osoby zajęte pracą. Na ścianie przedstawiony był kościotrup co nadawało lokalowi, i tak ponuremu, jeszcze bardziej tajemniczy i grozą przejmujący wygląd. Dalsza rewizya wykryła kilkadziesiąt skrzyń z wydawnictwami zakazanemi, przygotowanemi zapewne do wysłania, archiwum wydanych dotąd proklamacyi partyjnych, znaczną ilość naboi do browningów, rewolwery, bloki do zbierania składek na cele partyjne, biuro do prowadzenia korespondencyi partyjnej i wydawania paszportów z przeszło stoma czystymi blankietami paszportowymi i podrobionemi pieczęciami różnych urzędów. W związku z przeprowadzoną rewizyą, prócz dwu osób, zajętych w drukarni, aresztowano nadto 16 osób, które umieszczono w więzieniu.



Międzynarodowy kongres prasy w Berlinie: Zjazdowcy podczas przyjęcia u kanclerza ks. Bülowa.



Zgon znakomitego bibliografa: Dr. Karol Estreicher.



Zjazd urzędów pośrednictwa pracy w Pradze: Uczestnicy zjazdu. W pośrodku prof. dr. Mischler z Gracu, po lewej stronie dr. Kumaniecki, po prawej dr. Fürer z minister. roln.

Po odbytej rewizyi wozami strażackimi przewieziono do biura policyjnego stosy druków, odezw, i dowodów partyjnych, oraz całe urządzenie dru-



Sensacyjna defraudacya we Lwowie: Dyrektor »Związku kredytowego« Emanuel Weissmann.

karni. Ponieważ znaleziono wiele pism kompromitujących oczekiwany jest jeszcze dalszy szereg aresztowań tak w Warszawie, jak i na prowincyi.

Illustracya nasza przedstawia chwilę wtragnięcia policyi i żandarmeryi do tajemniczego lokalu.

Zgon znakomitego bibliografa.

Nauka polska poniosła dotkliwą stratę. W dniu 30 września br. zmarł w Krakowie o godzinie 9 wieczór znakomity uczony, długoletni dyrektor biblioteki Jagiellońskiej i dyrektor wydziału filologicznego krakowskiej Akademii, dr. Karol Estreicher-Rozbierski.

Karol Estreicher urodził się w Krakowie w d. 22 listopada 1827 r. jako syn Alojzego, profesora wszechnicy krakowskiej i Antoniny Rozbierskiej i tu uczęszczał do gimnazyum i na uniwersytet, gdzie ukończył wydział filozofii i prawa. Początkowo był aplikantem trybunału krakowskiego, w roku 1855 został adyunktem sądu karnego we Lwowie, w roku zaś 1862 otrzymał notaryat w Wojniczu, którego jednak nie prowadził, gdyż w tym samym roku powołano go do Warszawy, gdzie został podbibliotekarzem Szkoły Głównej, tam też uzyskał w r. 1867 doktorat filozofii. W r. 1868 powołano go na bibliotekarza uniwersytetu krakowskiego, którą to posadę zajmował do r. 1906. Pod jego światłym zarządem biblioteka wzrosła przeszło w trójnasób, stając się jednym z największych i najcenniejszych polskich księgozbiorów.

Główną zasługą ś. p. Estreichera były prace bibliograficzne, których owocem była pomnikowa *Bibliografia polska*, będąca poprostu rozumowanym inwentarzem oświaty polskiej. Ś. p. Estreicher zajmował się nadto wiele studyami historyczno-literackiemi i teatrem polskim. Od r. 1853 umieszczał swe prace w *Czasie* krakowskim i lwowskim *Dzienniku literackim*, w którym w r. 1858 pojawiła się pierwsza umiejętna biografia Mickiewicza jego pióra. Za zasługi, położone na polu bibliografii, uczczono śp. zmarłego w r. 1889 medalem pamiątkowym.

Jakiś czas pracował także skutecznie w Radzie miejskiej, a do ostatnich chwil był stałym członkiem komisyi teatralnej z ramienia Wydziału krajowego.

Cześć jego zasługom i pamięci!

Bułgarya królestwem.

Wypadki, które rozgrywają się obecnie na półwyspie Bałkańskim, rozwiązały się rychlej niż się spodziewano. W dniu 5 października ogłosił się ks. Ferdynand carem Bułgaryi, proklamując przytem jej niezależność.

Krok to dość ryzykowny, stać się on bowiem może wstępem i przyczyną najrozmaitszych zawikłań politycznych, nic też dziwnego, że wywołał ogromne wrażenie na wszystkich dworach europejskich, a najlepszym dowodem zajęcia się tą sprawą Europy jest fakt, że giełda wiedeńska, która z powodu żydowskiego sądnego dnia była prawie pusta, wnet się wypełniła, a papiery wartościowe uległy gwałtownej zniżce.

W samej Bułgaryi panuje ogromna radość, do Tyrnowy nadchodzą setki depesz gratulacyjnych, wszystkie biura i szkoły były w dniu ogłoszenia niezawisłości zamknięte. W kołach rządowych panuje przekonanie, że niema obawy kro-



Międzynarodowy kongres prasy w Berlinie: Wilhelm Singer, prezydent kongresu prasy.

ków zaczepnych ze strony Turcyi, mimo to wydano daleko idące zarządzenia wojskowe. W Konstantynopolu wiadomość o zaszłym fakcie wywołała bardzo przygnębiające wrażenie; mimo całego zamiłowania Turków do pokoju pewne oznaki wskazują, że z miarodajnej strony domagają się wojny, gdyż upokorzenie Turcyi mogłoby ożywić reakcyę. Wogóle w kołach dyplomatycznych usposobienie jest bardzo pessymistyczne. Mahometanie zachowują się spokojnie, a jak sądzą dopiero po świętach *ramazanu* okażą się skutki tego wydarzenia.



Bułgarya królestwem: Car Bułgaryi Ferdynand I. wraz z małżonką carową Eleonorą.

Sensacyjna defraudacya we Lwowie.

Lwowskie sfery giełdowo finansowe mają znowu wielką sensacyę. Wywołał ją dyrektor jednego z mniejszych banczków, Związku kredytowego — Emanuel Weissmann — przez sprzeniewierzenie na szkodę instytucyi, której był dyrektorem, około 80 tysięcy koron.

Istotę sensacyi tej stanowi nie wysokość sprzeniewierzonej kwoty, ani też instytucya poszkodowana, ale przedewszystkiem osoba sprawcy, człowieka w sile wieku, znanego w szerokich kołach finansowych Lwowa i cieszącego się tam do ostatnich chwil nadzwyczajnem zaufaniem i jak najlepszą opinią.

To też gdy przed kilku dniami wieść o tej historyi rozniosła się po mieście, nikt ze znajo-

mych dyr. Weissmanna nie chciał jej dać wiary, tak była nieprawdopodobną. A jednak zarówno sam fakt, jak i wysokość sprzeniewierzonej kwoty okazała się prawdziwą. Stwierdził to zresztą sam winowajca, przyznając się wobec dwu innych dyrektorów banku zupełnie szczerze do defraudacyi. Zeznania jego ułatwią też znakomicie zarówno dochodzenia, jak i załatwienie sprawy. Częściowe pokrycie strat stanowić będzie realność żony dyr. Weissmanna, resztę zaś złoży rada nadzorcza banku.



Pożar centrali telefonów w Paryżu: Ogólny widok zniszczonego gmachu.

Dyr. Weissmann uchodził dotąd za człowieka nietylko nieposzlakowanego, ale i za bardzo zdolnego finansistę. Był nim istotnie. Ale opanował go w ostatnich latach nałóg fatalny, gra w loteryę liczbową, której z całą namiętnością się oddawał, stawiając nieraz po kilkaset koron na jedno ciągnienie. Popadłszy raz w kłopoty finansowe, chciał się następnie „odbić“, ale szczęście mu nie sprzyjało, brnął więc coraz głębiej i coraz większe sumy tą drogą marnował. A były to oczywiście pieniądze cudze, pieniądze banku.

Rada nadzorcza Związku kredytowego postanowiła całą tę przykrą historyę załatwić w domu i nie oddawać jej prokuratoryi państwa. Z osób prywatnych, klientów banku, nie poniesie prawdopodobnie nikt straty — tylko kilku znajomych dyr. Weissmanna, którzy bądź pożyczyli mu pieniędzy, bądź ręczyli za niego.

Międzynarodowy kongres prasy w Berlinie.

Bezpośrednio po ukończeniu międzyparlamentarnego kongresu pokojowego, zjechali do Berlina przedstawiciele prasy z całej Europy, celem odbycia dwunastego wspólnego zebrania. Po raz pierwszy gościł ich Berlin w swych murach, gdyż corocznie obradują w innej stolicy świata. W dniu 21 września odbyło się uroczyste powitanie uczestników w budynku parlamentu niemieckiego w obecności przedstawicieli władz i towarzystwa berlińskiego. Prezydent kongresu, Wilhelm Singer, naczelny redaktor *Tagblattu* wiedeńskiego wygłosił mowę powitalną, poczem zabrał głos sekretarz stanu Schön, witając zgromadzonych w imieniu rządu. Następnego dnia przyjmował dziennikarzy w swym pałacu kanclerz Bülow, wieczorem zaś wydała rada miejska berlińska w salach ratusza bankiet, na którym zgromadzili się uczestnicy zjazdu i przedstawiciele rządu. Starszy burmistrz Berlina, Kirschner, podniósł w swej przemowie wysokie znaczenie i zadanie prasy, która stała się mistrzynią narodów, zajmując się wszystkiem, co dotyczy duchowego ich życia i rozwoju. Im naród kulturalniejszy, tem prasa jego bardziej rozwinięta i tem większem cieszy się uznaniem. Goście wzięli nadto udział w przedstawieniu „Sardanapalu“ i zwiedzali zabytki miasta.

Do cesarza Wilhelma wysłano telegram hołdowniczy, na który nadeszło wkrótce na ręce prezydyum podziękowanie wraz z życzeniami jak najpiękniejszych rezultatów pracy.

Po ukończeniu obrad odbył się w ogrodzie zoologicznym wspólny bankiet dla przedstawicieli prasy. Szereg przemówień rozpoczął wiceprezydent kongresu Schweizer, toastując na cześć cesarza Wilhelma i innych monarchów, następnie minister Rheinbaben w imieniu kanclerza raz jeszcze wyraził przedstawicielom prasy serdeczną sympatyę i wskazał na doniosłe zadanie prasy w naszych czasach. Przemawiał też prezydent kongresu Singer, imieniem zaś prasy zagranicznej dyrektor dziennika *Timesa* Hebrard.



Pożar centrali telefonów w Paryżu: Wnętrze zniszczonej centrali.

Pożar centrali telefonów w Paryżu.

W dniu 20 września wieczorem wybuchł w suterenach budynku centralnego urzędu telefonicznego w Paryżu gwałtowny pożar. Budynek ten jest czteropiętrowy, ma 50 metrów szerokości, a 150 metrów długości. Gutaperka i parafina, które służą do izolacyi przewodów, stanowiły doskonały żer dla niszczącego żywiołu, to też wkrótce cały budynek stanął w płomieniach. Musiano zarządzić natychmiastowe opróżnienie gmachu, telefonistki pouciekały w popłochu, niektóre nawet ze słuchawkami w ręku.



Pożar centrali telefonów w Paryżu Akcya ratunkowa.

Przybyła natychmiast na miejsce katastrofy straż ogniowa rozpoczęła akcyę ratunkową. Wdarła się do suteren, ale skutkiem gęstego, gryzącego dymu nie można było wykryć ogniska pożaru. Pomimo nadludzkich prawie wysiłków ratujących, ogień przedostał się na pierwsze, drugie i trzecie piętro, a płomienie buchały słupami 10 metrowymi. Usiłowania straży ogniowej skierowane były głównie ku temu, aby uchronić główny urząd pocztowy, oddzielony od urzędu telefonicznego tylko wąskim dziedzińcem, co się też udało. Dopiero koło północy znaleziono środowisko pożaru. Przyczyna była jak się zdaje t. zw. krótkie spięcie, choć nie brakło przypuszczeń, że wypadek ten jest wynikiem zamachu. Od północy pożar też zaczął się zmniejszać, prawe skrzydło gmachu częściowo ocalało, lewe spłonęło doszczętnie. Zniszczone zostało także całe urządzenie centrali. Skutkiem pożaru przerwane też zostały połączenia z zagranicą.

Tajemnice wielkiego świata.

POWIEŚĆ.

Napisał Czesław Radomski.

17 CZĘŚĆ DRUGA. (Ciąg dalszy).

Był już podmajstrzym na statku żaglowym, odbywającym handlową wędrówkę wzdłuż francuskich i włoskich wybrzeży. Wziąwszy półroczną płacę od swego kapitana, wysiadł bez jego pozwolenia na ląd w małej zatoce prowanckiej, z której okręt miał nazajutrz wyruszyć w dalszą podróż. Nie bacząc na smutne skutki, jakie dezercya pociągnąć może za sobą, pospieszył do Marsylii, gdzie w bezecnych orgiach, włócząc się po zaułkowych kawiarniach i najpodlejszych lupanarach, strwonił wszystkie z góry otrzymane pieniądze, niemal do ostatniego susa. Wtedy to, idąc pieszo, to przysiadając się na chłopskich wózkach, znużony, obdarty, niepodobny do boskiego stworzenia, dowlókł się do Castillon i zażądał od ojca tysiąca franków.

Stary Rutkowski, niegdyś żołnierz-ochotnik, uważający wszelką dobrowolnie podjętą służbę pod sztandarem, czy pod banderą za święty i honorowy obowiązek, przekonany przytem, że chłopak nie może być gdzieindziej teraz, jak na morzu, powitał go z pełnem podziwu oburzeniem i przyjął niezmiernie surowo. Odmówił udzielenia żądanej sumy, zagroził nawet wydaniem władzy, jako zbiega, jeśli nie zabierze się natychmiast i drogą lądową nie dogoni statku w pierwszym porcie, w którym miał się zatrzymać i na dni parę zarzucić kotwicę, dając mu tylko tyle pieniędzy, ile koniecznie było potrzeba na odbycie podróży koleją, trzecią klasą. Był pewny, że dogonić, a nawet przegonić okręt żaglowy jest rzeczą możliwą i łatwą, bo wszakże od dni kilku wieje wiatr kierunkowi jego przeciwny, który stanowczo wywołać musi opóźnienie.

Rozzuchwalony majtek zaczął starca wyśmiewać i natrząsać się z jego uczciwości i poczucia honoru. On przecie nie przyszedł do rodzica po rady, lecz po pieniądze, których użyje na dalszą hulankę. Ojciec uniósł się gwałtownym gniewem, począł synowi wyrzucać wszystkie dawniejsze haniebne sprawki, a nawet zamierzył się na młodzieńca... Wynikła stąd scena straszna, którą baron, gdyby mógł, wyrwałby z pamięci raz na zawsze, lecz obraz jej tkwi w jego mózgu, jakby wyryty rozpalonem do czerwoności żelazem... Sprawia ból nieznośny, dokuczliwy, okropny!...

Och, to ludzkie sumienie! Uśpić go nie można ani bogactwem, ani tytułem, ani stanowiskiem w wielkim świecie! W chwili właśnie, gdy sięgamy po to, co nazywamy celem naszego życia i naszem szczęściem, odzywa się nagle w głębi duszy i zmysły nam miesza... i z władzy panowania nad sobą, jak z pożyczonej szaty rozbiera... i grozi karą... i przerażeniem napełnia serce... Zwłaszcza, że wspomnienia o czynie, nie podobna rozpłoszyć innemi, pogodniejszemi myślami. Snuje się ono dalej i dalej, jak nić z kłębka, nieopatrznie rzuconego na ziemię.

Zaraz po pojawieniu się niespodzianem dezertera w dolnej izbie domostwa, Rutkowski obecną przytem żonę wyprawił na pierwsze piętro, nie chciał bowiem uledz jej łzom i prośbom, które już zanosić doń zaczęła za synem marnotrawnym. Biedna kobieta, zamknąwszy się w swoim pokoiku, słyszała naprzód krzyki, poczem krótkotrwającą bójkę, po której nastało głuche milczenie. Dość długo zejść nie śmiała. Gdy jednak milczenie przeciągało się dalej, a wicher począł miotać rozwartemi na parterze drzwiami, zbiegła po schodach. Myślała, że ojciec z synem porozumieli się nareszcie; że syn, posłuszny rozkazowi, oddalił się, nie pożegnawszy się z nią w pośpiechu; ojciec zaś odprowadza go kawałek drogi, była to już bowiem późna godzina w nocy, a nad Castillon wyła burza z grzmotami i piorunami. Gdy wchodziła do izby na dole wiatr zgasił kaganek, który niosła w ręku. W ciemności potknęła się o leżące na kamiennej posadzce ciało. Przyklękła i pochyliła się nad niem, macając rękami po twarzy. Dłoń jej dotknęła czoła, a na czole poczuła pod palcami zabliźnioną ranę, którą mąż odniósł niegdyś w bitwie, gdy jako ochotnik walczył w szeregach francuskich z Prusakami.

— Chryste Panie! — krzyknęła — to mój chłop!

Wiatr wpadał do izby, łomocząc gwałtownie drzwiami, przez które syn jej uciec musiał, bo przy Rutkowskim, nie poruszającym się i niemal już martwym, nie zastała nikogo... nikogo! Rozjęczała się rozpaczliwie. Jęki jej sprowadziły po niejakimś czasie sąsiadów, którzy pomogli nie szczęśliwej kobiecie przenieść męża na łóżko. W dniu następnym skonał on, nie odzyskawszy przytomności ani na chwilę, a lekarz, sprowadzony z Mentony, oświadczył, że eks-żołnierz zmarł na atak apoplektyczny. Kto ten atak wywołał? Jedna Rutkowska mogła odpowiedzieć, bo ona jedna tylko widziała syna, gdy przyszedł z Marsylii. Lecz ona milczała... Milczała zaraz po śmierci męża... i po jego pogrzebie... i później jeszcze, gdy sprawdziła, że z żelaznego kuferka, stojącego w głębokiej framudze, wybitej w murze dolnej izby, przylegającym do skały, znikło kilka banknotów po tysiąc franków każdy, uzbieranych ciężką pracą i oszczędnością obojga Rutkowskich, a za które mieli nabyć na jednym z poblizkich pagórków na południe zwrócone obocze, zasadzone młodemi drzewami oliwnemi. O całej przygodzie nie wspominała nigdy nikomu, chyba może tylko proboszczowi na spowiedzi. Ksiądz-staruszek, krępowany kapłańską przysięgą, milczał także za życia, a w rok potem zaniósł z sobą tajemnicę do grobu. Tak więc dzieje ohydnego dramatu rodzinnego utonęły w głębi sumienia matki i syna, znane im tylko i Bogu. Opuszczona wdowa zanosiła codziennie gorące modły do Najwyższego sędziego za dzieckiem występnem, błagając Pana nad pany, by je nie karał i sprowadził z błędnej na dobrą drogę.

Lat kilka upłynęło bez żadnej o zbiegu wieści.

Nagle pewnego wiosennego poranka zawitał do Castillon, nie jak przedtem jako biedny majtek w brudnej odzieży, bez susa w kieszeni, lecz jak człowiek zamożny, przyodziany w strój wytworny, z pugilaresem w zanadrzu, wypchanym przekazami na banki w Nizzy, Tulonie, Marsylii i Paryżu, pod każdym względem zmieniony, tak w sposobie zachowania się jak w mówieniu, wyrażający się stylem ludzi wykształconych i dobrze wychowanych, panujący nad wybuchami dawnej, a kiedy niekiedy już tylko teraz objawiającej się gwałtowności, błyszczący dostatkiem i urodą, słowem pan, całą gębą pan, miły, szczodry i wspaniały. Po krótkotrwałej reminiscencyi szczerego oburzenia i gorzkich, nagromadzonych w piersi przez lata wyrzutach, matka — bądź co bądź zachwycona, rozczulona i uradowana widokiem ślicznego panicza — przebaczyła całującemu jej spracowane ręce synowi, jak zwykle wszystkie matki przebaczają ukochanym jedynakom. Wmawiała w siebie, że był wprawdzie niegdyś nicponiem, lecz obecnie już wyszumiał, prawdopodobnie wyzbył się złych skłonności i całe swe życie poświęci na to, aby czynami cnoty odkupić czyn zbrodniczy. Przyczem dumie matczynego serca pochlebiało wielce, widzieć go pięknym, bogatym i jednającym sobie ludzi czarem swoich manier i swojej wymowy.

Pytała go z ciekawością:

— Więc dużo... dużo zarobiłeś pieniędzy?

— Dużo mateczko — odpowiedział.

— Czy w interesach handlowych?

— W różnych mamo.

Mówiąc to jednak spuszczał wzrok w ziemię, jakby wstydził się spojrzeć matce w oczy, jakby lękał się, żeby go nie zapytała: „W jakichże to interesach mogłeś tak prędko zdobyć olbrzymią fortunę?..." Lecz matka nie zadała mu takiego pytania, bo o interesach w ogólności — prócz tych, które wytwarza praca sadownicza i rolna — nie miała najmniejszego pojęcia... Teraz w gąszczu cisnących się do mózgu jego wspomnień przesuwać się zaczęły w dalszym ciągu wizye pomysłów, kompromisów i układów, związanych z prowadzonymi przez niego niegdyś interesami, bardzo często wstrętnymi i poniżającymi moralną godność człowieka.

Nieraz bowiem za pomocą środków nieuczciwych... za pomocą wyzysku, upodlenia i podstępu zdobywał kapitały tak na bliższym i dalszym Wschodzie, jak w Syberyi, gdzie naprzód udało mu się posiąść sto tysięcy rubli, następnie milion i wraz z obcem, przyznanem mu przez rząd nazwiskiem.. tytuł baronowski. Ten ostatni otrzymał słusznie za rzeczywistą usługę finansową, oddaną miejscowemu, nieszczęśliwemu społeczeństwu... lecz czyż jeden czyn prawy mógł okupić tysiąc innych bezczelnych i nikczemnych?... A przecież on sobie nic nie wyrzuca i niczego nie żałuje, bo sądzi, że pewnym ludziom wszystko wolno. Ci, wzbogacając się i rozszerzając zakres swoich stosunków w wielkim świecie, stają się pożytecznymi czynnikami cywilizacyi, postępu i dobrobytu mas, nie mogących — z powodu swojej zbiorowości — projektować genialnych przedsięwzięć, ani wykonywać ich należycie. Wszystko, co wielkie, może być dziełem tylko wielkich indywidualizmów twórczych, a on czuje, że jest taką potężną indywidualnością. Wprawdzie wie, że ma sumienie nieczyste... robak jakiś utajony gryzie je niekiedy... tu nawet teraz, przed chwilą, jedno przypomnienie przejęło go lodowatym dreszczem... lecz co to znaczy wobec tryumfów, jakie odniósł i jakie jeszcze odniesie, zwłaszcza, gdy pokona opierającą mu się kobietę i zaspokoi namiętność, obezwładniającą go chwilowo.

Pochylił głowę na piersi, tonąc teraz cały w rozkosznych marzeniach.

Przerwał je nagle parobek, spełniający w Castillon obowiązki listonosza. W mniemaniu, że Korf drzemie, przemówił doń z uszanowaniem, lecz nieco podniesionym głosem:

— Mam dwa listy dla pana barona. Czy je odnieść do willi, czy tu doręczyć?

— Daj — odparł on, jakby istotnie przebudzony ze snu.

Parobek wydobył z przewieszonej przez ramię torby skórzanej: zeszyt pocztowy, w którym adresaci kwitowali odbiór rekomendowanej korespondencyi, ołówek i dwa listy z Warszawy: jeden zwyczajny, drugi polecony.

— Tu, proszę pana barona podpisać się należy... w tej oto kratce — rzekł, podając rozwartą książeczkę wraz z ołówkiem.

Korf podpisał, wsunął kłaniającemu się nizko parobkowi srebrną monetę w rękę i zabrał się do rozpieczętowania listów.

W pierwszym, donosił mu dr. Michał Marczak w krótkich słowach: że ciotka baronowej, pani Zuzanna Dulska, którą leczył, po niedługich, lecz dolegliwych cierpieniach „przeniosła się do wieczności".

W drugim, poleconym, rejent Alfred Żarski, zawiadamiał o zgonie tejże samej Zuzanny Dulskiej, dodając, że posiada w przechowaniu własnoręczny jej testament, którym zapisała siostrzenicy swojej, Zofii, baronowej Korfowej, cały swój majątek, wynoszący około trzech milionów rubli w papierach publicznych i sumach, ulokowanych na pierwszym numerze hipotek kilku dóbr ziemskich, oraz kilkunastu fabryk i kamienic warszawskich.

— No, no — pomyślał Korf — piękny kapitał! Żona moja stała się nagle dobrą partyą... Gdyby ciocia zmarła o rok wcześniej, prawdopodobnie nie wyszłaby za mnie... lecz papa i braciszek, wówczas jeszcze przy życiu, wydarliby jej spadek przemocą lub podstępem i już dotąd roztrwoniliby go niezawodnie...

Zatopił się w rozważaniu położenia, wytworzonego przez wieści, jakie przyniosły przed chwilą otrzymane listy.

— Czy mam o tem, co tu piszą Marczak i notaryusz, donieść jej zaraz?... Nie, nie jeszcze! Broń Boże!... Zaczekam czas jakiś... może dni parę, aż stanie się to, czego tak gorąco pragnę... Inaczej gotowaby wierzyć w sukcesyi środek obrony i wyzwolenia... kto wie? czy nie rozwiązania naszego małżeństwa... Obecnie milczeć trzeba... Milczeć muszę... Tak, tak, milczeć muszę!

Schował listy do bocznej kieszeni surduta i spojrzał przed siebie na drogę z Mentony, wijącą się pomiędzy prostopadłemi ścianami skał, piętrzących się strzeliście, albo nad bezdennemi prawie przepaściami, któremi częste i liczne trzęsienia ziemi porozdzierały całe zbocze góry. Jedna z takich otchłannych głębin otwierała olbrzymią paszczę tuż niemal pod balkonem ślicznej willi, z rozkazu barona wzniesionej i przeznaczonej przez niego na gniazdo, w którem przyjść miała na świat Janinka. Inne w niekształtnych promieniach rozpryskiwały się w różnych kierunkach, tworząc groźne niebezpieczeństwo dla turysty, który — nie znając dobrze miejscowości — wybrały się do Castillon w noc ciemną.

X.

Rozpacz matki.

Korf zeszedł nareszcie z przełęczy i podążył naprzeciw Zofii, zmęczonej długą wycieczką, więc postępującej ociężale i z trudnością po podnoszącej się w górę kamienistej drodze. W kilka minut potem spostrzegł żonę, stojącą nad brzegiem jednej z przepaści. Zatrzymała się chwilkę, aby szybkim rzutem oka pożegnać morze, które o kilka kroków wyżej zakrywała już skalista nierówność gruntu. Baron zatrzymał się także, nie śmiejąc poruszyć się z miejsca. Zimny dreszcz wstrząsnął jego ciałem, a sercem zawładnęła dziwna obawa, podobna do lęku, jakim przejęty bywa nie-

kiedy najodważniejszy człowiek przed pojedynkiem.

Wszakże i on miał stoczyć walkę, wprawdzie tylko moralną, lecz sroższą może od materyalnej, bo z istotą kochaną namiętnie. Dlatego zaś, że posiadał straszną broń, zapewniającą mu zwycięstwo, musiał rachować się z siłą swojej broni, aby przy jej użyciu nie przebrać miary i zamiast poddania się pokonanej, nie wywołać groźnej katastrofy, którąby go raz na zawsze pozbawiła wszelkiej nadziei posiadania umiłowanej kobiety.

Gdy tak rozmyślał, uszu jego doleciał odgłos bolesnego łkania. To Zofia zanosiła się od płaczu. Płacz jej obudził w nim wrodzoną mu dziką energię. Ruszył szparko naprzód, biegnąc prawie — i doszedł do żony w chwili właśnie, gdy ona ocierała łzy z twarzy.

— Przepraszam cię — rzekła zmieszana i zapłoniona — nie sądziłam, abyś był tak bardzo blizko.

— O, wiem — odparł głosem, w którym dźwięczała gorycz i rozdraźnienie — że jesteś wspaniałomyślną i nie chcąc mi sprawiać przykrości, ukrywasz łzy swoje przedemną, lecz zaręczam ci słowem, że ile razy płakałaś, zawsze domyśliłem się tego natychmiast.

Poczem, pragnąc w innym kierunku odwrócić rozmowę, dodał tonem bardzo uprzejmym:

— Zdajesz się mocno zmęczoną, więc pozwól, że cię do domu podprowadzę.

Zaokrąglił grzecznie ramię, na którem ona oparła rękę. Lecz Korf, jakby nagle zapomniał o jej zmęczeniu, odwrócił się w stronę Mentony i zaczął najspokojniej podziwiać wspaniały widok blasków słonecznych, zasypujących snopami promieni skaliste szczyty, rysujące się na prawem półkolu widnokręgu. Jaskrawo oświetlone regle zdawały się płonąć gorącą czerwienią olbrzymiego pożaru. Potem powiódł żonę na przełęcz, z której tylko co zeszedł, i wskazał jej dolinę Sospel, już prawie całkowicie tonącą w cieniu, jaki rzucała na nią sylwetka góry i osady Castillon.

— Prawda, jaki interesujący kontrast? — szepnął z dobrze udanem uniesieniem.

Cuda i czary przyrody były dlań zwykle obojętne, tym razem jednak zachwycał się nimi i zwracał na nie uwagę roztargnionej żony, aby — gdy Zofia nie znajdzie w domu córeczki — już naprzód usunąć z jej umysłu wszelkie podejrzenie co do miejsca, w którem wydarte jej dziecko zostało ukryte. Sprowadzając ją nareszcie do willi po dość długiem zatrzymaniu się na przełęczy, rozprawiał dalej z patosem artystycznym o niepospolitych pięknościach jasnego wybrzeża. Powtarzał — ma się rozumieć — zdania i hymny pochwalne, wyczytane niegdyś w „przewodnikach“, oraz w nowellach i romansach polskich i francuskich powieściopisarzów, sławiących Prowancyę i jej widoki. Zofia, czem innem zajęta, nie słuchała go wcale, a gdy nareszcie dotarła do żelaznego ogrodzenia, opasującego willę z ogrodem, pożegnała męża, mówiąc:

— Pojmujesz, jak mi pilno zobaczyć Janinkę. Wszakże dwie godziny mija, jak jej nie ucałowałam.

Korf pozostał przed domem w pośród eukaliptusów, tudzież drzew cytrynowych i migdałowych, pokrytych kwieciem różowem. Tworzyły tu one ładny gaik, zasadzony z jego rozkazu na grubym nasypie ziemi, przywiezionej z doliny.

Nagle rozległ się głośny krzyk, tętniący przerażeniem... a w jednem z okien willi ukazała się Zofia.

— Słuchaj!... Janinka... moje dziecko...

— Co się stało? — zapytał baron.

— Niema jej w kołysce...

Korf uśmiechnął się raczył:

— Jakże łatwo każdą matkę byle czem przestraszyć. Ależ prawdopodobnie kochająca babcia zabrała do siebie ukochaną wnuczkę!

— Nie, nie! to niepodobna! Nigdy dotąd nie zrobiła tego ani razu... Mamki niema także... Stać się musiało jakieś nieszczęście!... Powiadam panu, że stać się musiało jakieś okropne nieszczęście!...

Ukrywasz je przedemną, a przecież matki oszukiwać nie wolno...

Zeszła na dół i z kolei przywołała z suteren i ogrodu całą służbę domową, zasypując wszystkich gorączkowemi pytaniami. Wszyscy odpowiedzieli, że starsza pani półtory godziny temu wzięła dziecko na ręce i razem z mamką oddaliła się w niewiadomym im kierunku, więc prawdopodobnie powróci wkrótce. Zofia straszliwie blada zaprzeczała im gestem i słowem.

— Nie, nie! to być nie może... Gdyby pani Rutkowska zabrała dziecko z kołyski, wyszłaby z niem niezawodnie na spotkanie ze mną...

— Jeśli chcesz, moja droga — rzekł baron — pójdę do mamy, żeby się dowiedzieć...

— Sama lecę do niej!

I istotnie pobiegła w górę, oglądając się jednak naokoło, czy przypadkiem nie spostrzeże gdzie Rutkowskiej. Mąż pędził za nią, błagając, by się zatrzymała.

— Ależ to szaleństwo gnać tak szybko po takich okropnych ścieżkach... Zastanów się, upaść możesz!



Poczem uklękła przed Korfem i błagała go rozdzierającym serce głosem.

Ona potykała się ciągle, lecz zatrzymać się nie chciała. Zdyszana i z sił wyczerpana wdarła się nareszcie na płaskowzgórze, nad którem dominowała osada, podobna do twierdzy starożytnej. Stanąwszy tu, wychyliła się w jedną i drugą stronę poza murek, okalający platformę, i patrzyła naprzód w dolinę Sospel, potem w dolinę Mentony, ale tu i tam nie dostrzegła ani mamki, ani Rutkowskiej. Wpadła więc do domu świekry.

Jedyna sługa staruszki, siedząc na progu dolnej izby, cerowała wełniane pończochy.

— Gdzie wasza pani?

— O, już dawno, jak poszła do was!

Zofia zawróciła natychmiast. Biegnąc na dół po spadzistej, pokrytej drobnymi kamieniami ścieżce, pośliznęła się i zachwiała. O mało co nie runęła w przepaść; na szczęście mąż, pędzący za nią, w czas ją wpół pochwycił, wziął na ręce, zaniósł do willi i chciał zmusić, by weszła z nim razem do jego pokoju, lecz ona wyrwała mu się z rąk i pobiegła do pustej kołyski, jęcząc i zawodząc straszliwie. Poczem uklękła przed Korfem i błagała go rozdzierającym serce głosem:

— Miej litość nademną! Mów, mów... chcę wiedzieć prawdę!

Młoda kobieta mniemała dotąd, że jakiś wypadek, który mąż przed nią ukryć pragnie, pozbawił ją dziecka Lecz nagle w ostrym i przenikliwym jego wzroku, w jego ustach, wykrzywionych nieznacznie sarkastycznym uśmiechem, wyczytała ohydną rzeczywistość. Więc pozbawiona tchu przez dławiące ją oburzenie, zerwała się na równe nogi i krzyknęła:

— To pan skradłeś moje dziecko!

Nic jej nie odpowiedział, tylko roześmiał się złośliwie.

— A więc to pan!... Ach! nikczemny, masz nadzieję pokonać mnie tak podłym sposobem?... I Bóg... Bóg pozwolił ci spełnić czyn tak niegodziwy?... Moje biedne dziecko! Zwróć mi pan córkę natychmiast... chcę tego... żądam koniecznie... bo inaczej strzeż się, strzeż!... Wszakże i w tym kraju muszą być prawa, do których się odwołam. Już się teraz ciebie nie lękam...

Następowała na niego z wzniesionemi w górę ramionami, a w oczach jej błyszczała taka nienawiść, że Korf zawahał się chwilę. Lecz wnet się opamiętał, chwycił ją za obie ręce — za te rączki drobne, które chętnie ucałowałby stokrotnie — i mimowolnym niemal naciskiem zmusił Zofię, że uklękła znowu przed nim.

— Nie krzycz!.. bardzo proszę. Nie mieszajmy służby do naszych swarów domowych... Nadeszła godzina porozumienia się nareszcie... — Uczyńmy to czemprędzej i zgodnie. Przekonany jestem, że porozumieć się możemy bez próżnej wrzawy i skandalu...

— Moja córka! — jęczała ona — moja córka droga!

— Janinka znajduje się w bezpiecznem miejscu. Zabrała ją stąd i czuwa nad nią moja matka wraz z mamką. Ja jeden wiem kędy przebywa i gdzie przebywać będzie tak długo, jak zechcę i każę. Nie lękaj się o jej życie... Co do mnie zaś, sądzę, że powinienem był rozłączyć ją z panią aż do chwili, w której nareszcie zechcesz mi się oddać cała...

— Ach.. podły! podły! Wszakże zapewniałeś dotąd ciągle, że pragniesz mnie pozyskać miłością... tylko miłością! Czemu obecnie poddajesz mnie tak okrutnej męczarni? Czy sądzisz, że niegodziwymi i nikczemnymi środkami złamiesz mnie i pokonasz? Nigdy! nigdy!... Nienawidzę pana, pogardzam tobą... Zbyt długo znosiłam twoją przewagę cierpliwie; nie chcę dłużej być niewolnicą podobnego do ciebie człowieka. Są rzeczy, których znieść niepodobna... na samą myśl o tem dusza się wzdryga!

— Uspokój się — rzekł Korf, nie podnosząc głosu, stanowczo i zimno. — Gdyby przypadkiem którykolwiek z naszych służących usłyszał, co mówisz, ręczę, że jutro uczułabyś się srodze zmartwioną, myśląc, jak długo pozwoliłaś się unosić niesłusznemu gniewowi... Tem gorzej dla ciebie, jeśli mnie zmuszasz do użycia środków okrutnych i może w rzeczy samej zasługujących na potępienie. Obecnie tylko takimi posiłkować się mogę; wszystkie inne wyczerpałem już poprzednio. Teraz dopiero zrozumiałem, że gwałtem jedynie pokonać cię zdołam. Chociaż w stosunku do ciebie wyrzekłem się niemal zupełnie męzkiej godności, chociaż w najpoddaniejszem upokorzeniu znosiłem i spełniałem twoje kaprysy, dotąd jeszcze nie pozyskałem twego serca...

— Mylisz się pan! Serce moje przepełnione było dla ciebie wdzięcznością; łączyła mnie z panem rzeczywista przyjaźń, chociaż wiesz dobrze, że nie bez przymusu zgodziłam się na nasze przykre pożycie, jakie zgotowało mi moje poświęcenie dla rodziny... Zaczynałam nawet doznawać pewnych wyrzutów sumienia, myśląc, że otrzymujesz zbyt mało za swą dla mnie życzliwość, która mi się wydawała prawdziwą, bezinteresowną i szlachetną. Ach! jakże mam ci teraz podziękować, żeś mnie na czas wyprowadził z błędnego mniemania, ukazując się takim, jakim jesteś w istocie!... Więc słuchaj mnie pan, teraz już się pana nie boję! Nie lękam się ani twej gwałtowności, ani twego okrucieństwa...

(Ciąg dalszy nastąpi)

Muzeum przedhistoryczne w Warszawie.

Chociaż Warszawa w ostatnich czasach ogromnie wzrosła i stała się największem z miast polskich, mimo to nie może się poszczycić tak wspaniałymi zabytkami starożytności i zbiorami naukowymi, jak „polskie Ateny“ — nasz stary Kraków. Z biegiem czasu, dzięki głównie prywatnej ofiarności, daje się jednak widzieć postęp w tym kierunku, to też każde usiłowanie w tym względzie, wita społeczeństwo z radością i popiera wedle sił i możności.



Muzeum przedhistoryczne w Warszawie: Zbiory Erazma Majewskiego, pomieszczone w dolnej sali pałacu sztuki.

W dniu 27 września br. otwarto w Warszawie w budynku Towarzystwa Zachęty sztuk pięknych muzeum przedhistoryczne Erazma Majewskiego. Cenne zbiory archeologiczne uczonego stały się własnością ogółu. Warszawa, tak uboga dotąd we wszelkiego rodzaju muzea, przez hojną ofiarę pana Majewskiego zyskuje jedną więcej podstawę do prac naukowych. Zbiór ten gromadził ofiarodawca długie lata wielkim nakładem pracy i kosztów.

Mowę inauguracyjną wygłosił prezes Towarzystwa zachęty sztuk pięknych p. J. Herman, a następnie p. Ksawery Chamiec w rzeczowym wykładzie wyjaśnił znaczenie naukowe bogatych wykopalisk. Przemawiał także sam ofiarodawca pan Erazm Majewski, dziękując Towarzystwu za udzielenie gościny jego ukochanym zbiorom, przyczem opowiedział w krótkości historyę ich powstania. Na zakończenie wygłosił gorącą mowę w imieniu miłośników nauki p. Z. Weyberg, mineralog, dziękując zacnemu ofiarodawcy za przyczynienie się do otwarcia tego nowego przybytku wiedzy naukowej.

Wykopaliska umieszczono w jednym z dolnych salonów pałacu sztuki. Ułożono je systematycznie według wskazań chronologicznych w bardzo estetycznych gablotach. Całość, jak widać z załączonego zdjęcia fotograficznego, przedstawia się nader imponująco.

Zagadkowa śmierć żandarma.

Ciężką i odpowiedzialną jest służba żandarma, mającego czuwać nad bezpieczeństwem społeczeństwa. Za swą ciężką pracę nie spotyka uznania, za najmniejsze przekroczenie regulaminu służbowego czeka go surowa kara, a na starość ma jedną tylko zazwyczaj pamiątkę w postaci reumatyzmu, jakiego się w służbie nabawił. Nieraz czeka go i niespodziewana zupełnie śmierć, jak to mieliśmy przykład na zagadkowym zgonie wachmistrza Kuryły.



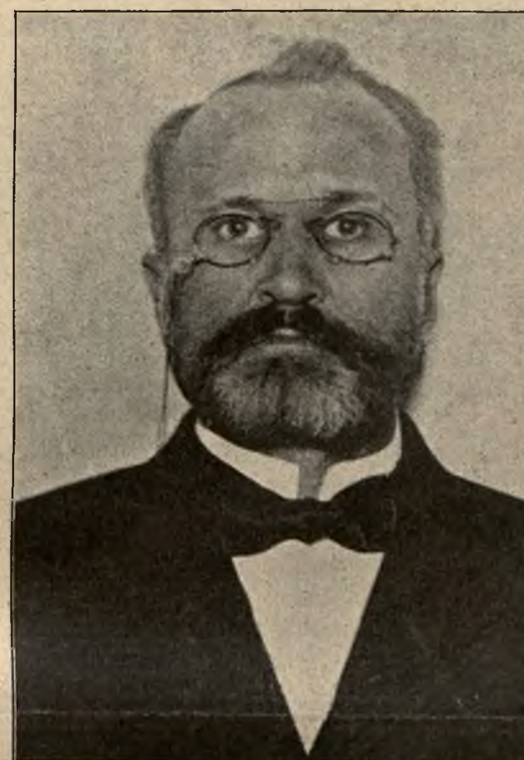
Zagadkowa śmierć żandarma: Zamordowany wachmistrz śp. Kuryło.

W nocy z 24 na 25 września spostrzegł maszynista pociągu Nr. 181 na przestrzeni między Przemyślem a Żurawicą leżące obok toru kolejowego jakieś zwłoki. Zatrzymano pociąg, a przy bliższem oglądnięciu skonstatowano, że są to zwłoki wachmistrza żandarmeryi w pełnym rynsztunku służbowym. O ratunku nie było już mowy, zwłoki były zupełnie zimne. Czaszka nieszczęśliwego była załamana, na twarzy i głowie znaleziono prócz tego kilka ran. Co było powodem śmierci żandarma, dotąd nie stwierdzono, choć na miejsce zjechały dwie komisye, wojskowa i sądowo-lekarska. Zwłoki odstawiono do Przemyśla.

Skonstatowano tylko, że krytycznej nocy przyaresztował Kuryło niejakiego Michała Marszałka z Żurawicy, podejrzanego o kradzież. Badany Marszałek oświadczył, że wachmistrz odprowadził go aż pod Przemyśl i tu go następnie puścił wolno, sam zaś powrócił do Żurawicy. Wedle innej wersyi zatrzymał Kuryło Marszałka przez pół godziny na posterunku, poczem go uwolnił, a sam udał się w stronę Przemyśla. Jak dotąd, śledztwo nie wykazało nic konkretnego i przyczyna śmierci Kuryły pozostała niezbadaną. Są więc dwie alternatywy: albo żandarm, idąc torem kolejowym, uległ wypadkowi w postaci najechania z tyłu przez pociąg, co jest mniej prawdopodobnem, albo też, co zdaje się być pewniejszem, padł ofiarą złoczyńców, a być może, że i ów Marszałek umaczał w tem ręce.



Zagadkowa śmierć żandarma: Mieszana komisya cywilno-wojskowa na miejscu wypadku.

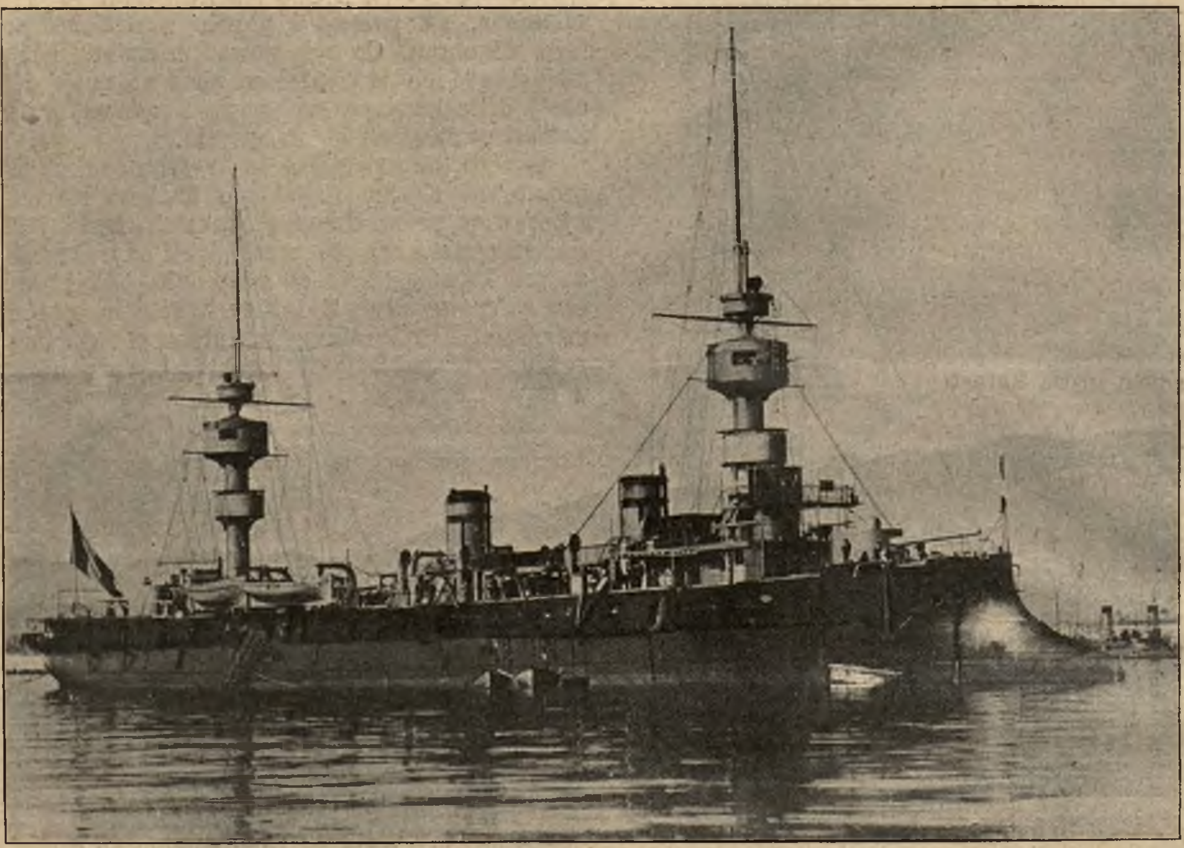


Ucieczka obłąkanego: Zbiegły z Steinhof Józef Serafin vel Ilnicki.

Ucieczka obłąkanego.

Z zakładu dla umysłowo chorych w Steinhof w dolnej Austryi, zbiegł dnia 26 września b. r. niebezpieczny obłąkaniec, Józef Ilnicki vel Serafin.

Przeszłość Ilnickiego jest nader burzliwa, niejednokrotnie stawał on już przed sądem, nieraz rocznem więzieniem. W r. 1904 wykonał Ilnicki zamach na posła rosyjskiego Szadowskiego w Bernie szwajcarskiem. Toczyło się wówczas długie śledztwo, celem sprawdzenia jego przynależności, które wykazało, że choć Ilnicki miał zupełnie formalnie wystawiony paszport turecki, pochodzi z Galicyi i nazywa się prawdopodobnie Serafin. Wobec



Eksplozya na okręcie wojennym: Pancernik »Latouche Treville« na którym katastrofa miała miejsce.

skazywano go i wydalano z granic różnych państw. W r. 1906 zbiegł z zakładu dla obłąkanych z Müssingen w Szwajcaryi. Gdy cesarz Aleksander III bawił w Danii, Ilnicki usiłował się dostać do niego, zapewniając, że jest pokrzywdzonym fabrykantem rosyjskim i chce się użalić. Wówczas wydalono go z Danii. W r. 1903 usiłował w Darmstadzie dostać się powtórnie, lecz i to mu się nie udało. Że przebywał w Rosyi, nie ulega kwestyi, gdyż w początkach swej awanturniczej karyery wydalony został za oszustwa z Kijowa, a w r. 1887 uwięziono go w Petersburgu, pod zarzutem zamordowania gen. Drentelna. Po jakimś czasie wypłynął we Wiedniu, gdzie obietnicą małżeństwa wyłudził 18000 koron. Ten krok odpokutował jednotego wydano go władzom austryackim, które niebezpiecznego maniaka umieściły w domu dla obłąkanych w Steinhof.

Z zakładu tego umknął Serafin-Ilnicki w sobotę przy pomocy jednego z dozorców, który mu ułatwił ucieczkę, wyprowadziwszy go, jak przypuszczają w nocy do ogrodu, gdzie mu pomógł w przedostaniu się przez mur, otaczający cały zakład. Dozorcę uwięziono, za zbiegiem rozpoczęto pościg, który, jak dotąd, pozostał bez skutku.

Podajemy podobiznę niebezpiecznego indywiduum, obłąkanego maniaka lub wyrafinowanego zbrodniarza, umiejącego dobrze symulować obłąkanie. To drugie zdaje się być pewniejszem.

Wiedeńscy technicy w Krakowie.

Słuchacze politechniki urządzają corocznie w czasie wakacyjnym wycieczki naukowe pod kierunkiem swych profesorów, aby poznać cenniejsze



Ustąpienie artystki: Michalina Łaska.

zabytki architektoniczne miast europejskich. W ubiegłym tygodniu zwiedzała podobna wycieczka, w której wzięło udział 16 słuchaczów IV roku politechniki wiedeńskiej pod kierownictwem znanego architekty wiedeńskiego, prof. Mayredera, podobiwości naszego grodu. Wycieczka ta, urządzona przez ministerstwo oświaty, po raz pierwszy skierowaną została do Krakowa, dotąd bowiem zwiedzali technicy wiedeńscy przeważnie tylko miasta niemieckie. W Krakowie zabawili wycieczkowcy kilka dni, oglądając zabytki naszego miasta: Wawel, Rondel, Sukiennice, uniwersytet, Bibliotekę Jagiellońską i kościoły, robiąc przytem zdjęcia cie-



Wiedeńscy technicy w Krakowie: Grupa uczestników wycieczki z prof. Mayrederem (w pośrodku) i radcą Zawiejskim. Aparatem redakcyjnym W. Lis.

kawszych objektów. W czasie zwiedzania udzielał wiedeńskim gościom cennych wskazówek i objaśnień radca budownictwa miejskiego, prof. Zawiej-



Cholera w Rosyi Beczka z gorącą wodą do herbaty, której dostarcza zarząd miasta bezpłatnie uboższej ludności.



Cholera w Rosyi: Desinfekcyonowanie dorożki, w której jakiś pasażer zachorował nagle na cholerę.

ski. Po zwiedzeniu miasta i jego zabytków urządzili wycieczkowcy kilka spacerów w okolicę.

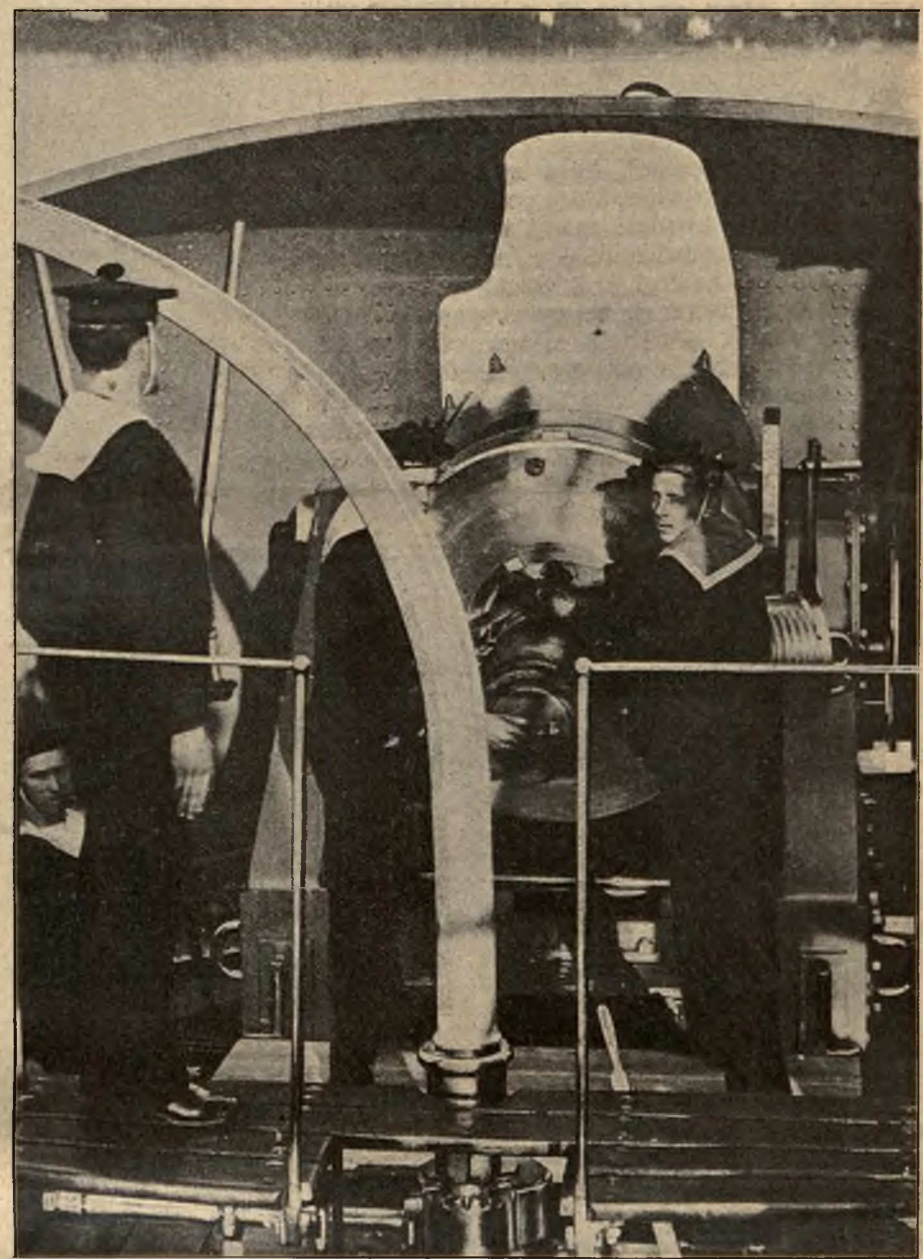
Wogóle wynieśli Wiedeńczycy z Krakowa bardzo miłe wspomnienie staropolskiej gościnności, z jaką ich wszędzie podejmowano i ułatwiano zwiedzanie, a już po prostu nie mieli słów wdzięczności dla prof. Zawiejskiego, który nie szczędził czasu, aby tylko zapoznać gości z najciekawszemi osobliwościami naszego grodu.

W bieżącym numerze podajemy zdjęcie uczestników wycieczki wraz z prof. Mayrederem i radcą Zawiejskim, wykonane przez naszego redakcyjnego fotografa w dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej.

Eksplozya na okręcie wojennym.

Bardzo często donoszą pisma codzienne o przejmujących grozą katastrofach, których widownią są okręty wojenne i to, jak dotąd, najczęściej francuskie. I znowu w dniu 23 września b. r. przyniósł telegraf wiadomość, że na francuskim pancerniku „Latouche-Treville“. nastąpiła eksplozya. Pękło mianowicie 174 milimetrowe działo, prawdopodobnie, jak przypuszczają fachowcy, skutkiem przedwczesnego zapalenia się naboju. Właściwej przyczyny wybuchu nie wykryto, albo też rząd utrzymuje ją w tajemnicy. Wskutek eksplozyi poniosło na miejscu śmierć trzynaście osób, dwu zaś marynarzy jest śmiertelnie ranionych. Jaka była siła wybuchu, tego najlepszy dowód, że ciała dwu żołnierzy wyrzucone zostały na trzydzieści metrów w górę, a potem spadły do morza. Tych dwu zwłok nie odnaleziono.

Na wiadomość o katastrofie zebrały się przed prefekturą marynarki w Tulonie ogromne tłumy rozdrażnionej publiczności, domagając się bliższych wyjaśnień. Prefektura postąpiła sobie bardzo dziwnie, wprost nie po ludzku, gdyż nietylko nie dała żadnych wyjaśnień, ale nawet odmówiła podania do wiadomości ogółu nazwisk ofiar, które zginęły podczas katastrofy.



Eksplozya na okręcie wojennym: Działo 174 mm. przed katastrofą.

Wzburzony tłum protestował, nie wiele brakowało, a byłoby przyszło może i do poważniejszych zaburzeń, gdyż między zebranymi byli krewni i znajomi marynarzy z „Latouche Treville“ zaniepokojeni o los swoich bliskich. Wreszcie udało



Teatr polski w Łodzi: Zespół artystów dramatycznych pod dyrekcyą Aleksandra Zelwerowicza.

się tłum uspokoić. Jakakolwiek jest przyczyna wybuchu, w każdym razie źle ona świadczy o marynarce francuskiej, gdyż mamy w pamięci jeszcze niedawną katastrofę na okręcie wojennym: „La Couronne“, która zabrała także kilkanaście ofiar w ludziach.

Teatr polski w Łodzi.

Polski „Manchester“, Łódź zyskała nareszcie należyty zespół artystów, który pod kierownictwem Aleksandra Zelwerowicza zaczął w dniu 17. września szereg przedstawień, rozpoczynając „Weselem“ Wyspiańskiego. Zabiegi p. A. Stamirowskiego, prezesa łódzkiego Towarzystwa teatralnego uwieńczył pożądany skutek — oddanie kierownictwa p. Zelwerowiczowi, artyście utalentowanemu i przejętemu znaczeniem kulturalnem teatru, uważać należy za krok nader fortunny. Wprawdzie już od r. 1888 silili się ś. p. L. Kościelski, ś. p. Wołowski i Gawalewicz o ustalenie polskiego teatru w Łodzi, nie mogli jednak powiązać końców i wobec braku poparcia społeczeństwa wychodzili zniechęceni, z deficytem. A przecież w Łodzi jest około 200 tysięcy ludzi mówiących po polsku, którzy mogą i powinni popierać teatr polski, jeśli on jednak będzie dobry, artystyczny, uczciwie prowadzony, więcej popularny i uwzględniający wszelkie rodzaje sztuki scenicznej. Wszystkie te gwarancye daje obecny kierownik i zebrany przez niego zespół artystów. Reżyseryę dramatu i komedyi objęli nasi znajomi: Andrzej Mielewski jeden z najwybitniejszych dziś w Polsce przedstawicieli ról tragicznych i bohaterskich, znany nam chlubnie ze swego kilkuletniego pobytu w Krakowie z czasów trzech dyrekcyi, t. j. Pawlikowskiego, Kotarbińskich i ostatnio Solskiego. Nieporozumienia, zaszłe między p. Mielewskim a obecną dyrekcyą, skłoniły p. Mielewskiego do porzucenia sceny krakowskiej i temu zawdzięcza dyrektor Zelwerowicz pozyskanie tak niepośledniego artysty, będącego bezprzecznie jednym z najwybitniejszych dziś artystów polskich. Obok Mielewskiego ulubieniec „weselszej“ publiczności p. Antoni Siemaszko. Trzecim wreszcie reżyserem jest tak popularny i lubiany swego czasu w całej Galicyi artysta i były reżyser operetki lwowskiej p. Julian Myszkowski.

Repertuar, ułożony już na cały rok teatralny, obejmuje prócz nowości, oraz rzeczy rozrywkowych, wiele dzieł wartościowych. Dość przejrzeć nazwiska autorów, między którymi znajdziemy nasze i obce najwybitniejsze talenty. Widoczne, że dyrektor zdaje sobie sprawę z tego, jakie sfery najbardziej potrzebują teatru, a jak z początkowych przedstawień można wnosić, publiczność uznaje te zabiegi.

Podając reprodukcyę fotograficznego zdjęcia zespołu p. Zelwerowicza życzymy mu z całego serca powodzenia, a Łodzi winszujemy wyboru dyrektora, w osobie tak wybitnego artysty i kierownika, jakim jest p. Zelwerowicz i jesteśmy przekonani, że publiczność łódzka nie odmówi w tym wypadku swego poparcia, aby utrzymać tę czwartą scenę polską.



Cholera w Rosyi: Szczepienie ochronne surowicy przeciwcholerycznej.



Cholera w Rosyi: Podejrzani słabi, przewożeni specyalną karetką dla cholerycznych celem obserwacyi lekarskiej.



Krakowski klub studentów cyklistów: Członkowie klubu z prof. Wackiem w pośrodku.

Włamywacz Gentleman.

PRZYGODY ZBRODNIARZA

11 przez Maurycego Leblanc

Wreszcie w jednym kącie, w rogu między sąsiednimi murami, mały wzgórek z gruzów i kamieni, pokryty chwastem i zielskiem, zwrócił jego uwagę. Począł go rozkopywać.

Musiałem mu pomagać. Całą godzinę na spiekocie słonecznej pracowaliśmy bezskutecznie. Ale, kiedy odrzuciwszy kamienie, dotarliśmy do samej ziemi i gdyśmy ją kopać zaczęli, motyka Daspry'ego wyrzuciła na wierzch kości, resztki szkieletu, przy którym trzymały się jeszcze strzępy ubrania.

I nagle poczułem, że blednę. Ujrzałem wbitą w ziemię małą tabliczkę żelazną, wykrojoną w formie prostokąta, na której wydało mi się, że spostrzegam plamy czerwone. Schyliłem się niżej. Nie omyliłem się: tabliczka miała rozmiary karty, a plamy czerwone z minium, gdzieniegdzie już przez rdzę strawione, w liczbie siedmiu, rozmieszczone były jak znaczki siódemki kierowej i przedziurawione w każdem ostrzu znaczka.

— Słuchaj Daspry, mam dosyć tych wszystkich historyi. Tem lepiej, kiedy cię zajmują. Ja psuję ci tylko towarzystwo.

Czy to było wzruszenie, czy zmęczenie po pracy na dojmującem słońcu, dość, że chwiałem się idąc i musiałem położyć się do łóżka. Przeleżałem dwie doby rozpalony, gorączkujący, męczony widmami szkieletów, które dokoła mnie tańczyły, rzucając mi na głowę swe krwawiące serca.

* * *

Daspry pozostał mi wiernym. Udzielał mi codzień po trzy, cztery godziny, które spędzał co prawda w wielkiej sali, szperając, pukając, probując.

— Listy są tu, w tym pokoju — mówił do mnie od czasu do czasu — tu są, dałbym za to głowę.

— Dajże mi spokój — odpowiadałem ze zjeżonymi włosami.

Na trzeci dzień rano wstałem dość jeszcze osłabiony, ale już zdrów. Pożywne śniadanie znacznie mnie wzmocniło. Ale do reszty wrócił mi siły mały liścik, który otrzymałem około piątej wieczorem, tak dalece na nowo i mimo wszystko rozpalił moją ciekawość.

Kartka zawierała te słowa:

„Panie!

„Dramat, którego akt pierwszy rozegrał się w nocy między 22 i 23 czerwca, zbliża się ku końcowi. Sama siła rzeczy wymaga, aby dwie główne osoby tego dramatu stanęły wobec siebie i aby spotkanie to nastąpić mogło u pana. Byłbym zatem nieskończenie wdzięcznym, gdybyś mi pan użyczył mieszkania swego na dzisiejszy wieczór. Dobrze byłoby, gdybyś pan usunął z domu służącego na czas między dziewiątą a jedenastą; byłoby też pożądanem, gdyby i pan sam był na tyle uprzejmym i zechciał pozostawić wolne pole przeciwnikom. Proszę sobie uprzytomnić, jak daleko w noc z 22 na 23 czerwca posunąłem moją uwagę i szacunek względem wszystkiego, co się pana tyczyło. Sądzę, że ubliżyłbym panu, wątpiąc choćby na jedną chwilę o pańskiej zupełnej dyskrecyi względem pańskiego sługi.

Salvator.“

W całej odezwie był ton tak eleganckiej ironii, a w wyrażonej prośbie tyle pięknej fantazyi, że wprost rozkoszowałem się listem. Biła z niego jakaś prześliczna brawura i piszący zdawał się być pewnym mego przyzwolenia. Za nic w świecie nie chciałbym uczynić mu zawodu, albo na jego ufność odpowiedzieć niewdzięcznością.

O ósmej wieczorem, zaledwo mój służący, któremu dałem bilet do teatru, wyszedł z domu, przychodzi Daspry. Pokazuję mu list.

— Więc jakże? — pyta.

— Zostawiłem otwartą kratę do ogrodu, aby można było wejść.

— A sam wychodzisz?

— Nigdy w świecie!

— Proszą tu wszakże...

— Proszą mnie o dyskrecyę i będę dyskretny, ale muszę wiedzieć koniecznie, co się tu dziać będzie...

Daspry począł się śmiać.

— Słowo daję, masz słuszność. Zostanę i ja. Mam przeczucie, że nie będziemy się nudzili.

Odgłos dzwonka przerwał mu dalsze słowa.

— Już oni! — szepnął — dwadzieścia minut wcześniej, to niemożebne!

Pociągnąłem sznur z przedpokoju, krata się otwarła. Jakaś sylwetka kobieca przesunęła się przez ogród: pani Andermatt.

Weszła wzburzona ogromnie, zdyszana, ledwo wyjąkać zdołała:

— Mój mąż... nadchodzi... ma tu spotkanie... mają wręczyć mu listy...

— Skąd pani wie o tem?

— Przypadkiem. Jedno słówko, które wczoraj mąż otrzymał.

— Mały bilecik?

— Telefonicznie. Służący przez pomyłkę mnie go oddał. Mąż wziął z rąk moich natychmiast, ale już było zapóźno... Przeczytałam.

— Przeczytała pani?

— Mniej więcej tak było: „Dzisiaj wieczorem o dziewiątej proszę przyjść — bulwar Maillot — z dokumentami, dotyczącymi sprawy. W zamian listy“. Po obiedzie wysunęłam się do swego pokoju i oto jestem.

— Pan Andermett nie wie?

— Nie wie.

Daspry popatrzył na mnie.

— Co myślisz pan o tem?

— Myślę to, co i pan: Andermatt jest jednym z zaproszonych przeciwników.

— Przez kogo i w jakim celu?

— O tem właśnie dowiemy się.

Zaprowadziłem ich do wielkiej sali. Mogliśmy tam od biedy ukryć się we troje za kominkiem, przysłoniętym aksamitną zasłoną. Usiedliśmy; pani Andermatt usiadła także między nami. Przez szpary zasłony mogliśmy widzieć dokładnie całą salę.

Wybiła dziewiąta. W kilka minut potem krata ogrodu skrzypnęła na zawiasach. Wyznaję, że nie byłem wcale obojętnym i gorączka na nowo rozpalać mnie zaczęła. Jestem zatem wobec słowa tej zagadki! Te wydarzenia zdumiewające, które w ciągu całych tygodni rozwijały się przed memi oczyma, ujawniają się nakoniec w całej swej rzeczywistości, i oto przedemną stoczy się ostatnia walka!

Daspry, chwytając za rękę panią Andermatt, wyszeptał:

— Przedewszystkiem nie ruszyć się! Cokolwiek pani zobaczy lub posłyszy, proszę pozostać niewzruszoną!

Ktoś wszedł; po wielkiem podobieństwie z bratem poznałem Alfreda Varin. Ten sam chód ciężki, ta sama twarz ziemista, zarosła brodą. Wygląd miał niespokojny, jak człowiek, który przywykł obawiać się wszędzie zasadzek, węszyć je i unikać. Jednym rzutem oka obrzucił całą salę i doznałem wrażenia, że nasz kominek, przysłonięty aksamitną firanką, jest mu nieprzyjemnym. Uczynił ku nam trzy kroki. Ale jakaś myśl, zapewne ważniejsza, zwróciła go z drogi: przyszedł do ściany, stanął przed starym królem mozajkowym z barwną brodą, z płomienistym mieczem, przyglądał mu się długo, wstąpił nawet na krzesło, wodził palcem po konturach ramion i twarzy, naciskał niektóre części obrazu.

Naraz zeskoczył z krzesła i oddalił się od ściany. Szmer kroków dał się słyszeć. Na progu ukazał się pan Andermatt.

— To pan! pan? — wykrzyknął zdziwiony. Pan mnie tu wezwałeś?

— Ja? Wcale nie — odrzekł Varin, a głos jego rozbity przypomniał mi żywo jego brata — ja przyszedłem wezwany pańskim listem.

— Moim listem?

— List z pańskim podpisem, gdzie mi pan ofiarujesz...

— Nie pisałem do pana.

— Pan nie pisałeś?!

I Varin instynktownie stanął pod bronią, nie przeciw bankierowi, ale przeciw temu nieznanemu wrogowi, który wciągnął go w zasadzkę. Po raz drugi oczy jego zwróciły się w stronę naszej firanki i nagle skierował się do drzwi.

Pan Andermatt zastąpił mu drogę.

— Cóż chcesz pan zrobić?

— Jest w tem machinacya, która mi się nie podoba. Wychodzę. Do widzenia.

— Chwilę jeszcze!

— Proszę pana, nie zatrzymuj mnie pan, nie mamy sobie nic do powiedzenia.

— Mamy sobie dużo do powiedzenia i sposobność właśnie jest najlepsza.

— Pozwól mi pan wyjść.

— Nie, nie, nie! nie wyjdziesz pan.

Varin, onieśmielony stanowczą postawą bankiera, cofnął się i wykrztusił:

— Więc prędko! mówmy i niech się to raz skończy!

Jedna rzecz mnie tu dziwiła i nie wątpię, że moi towarzysze odczuwali także zawód. Jak się stało, że Salvatora tu nie było? Czy nie leżało w jego zamiarach wmięszać się w tę sprawę? Czy wydała mu się dostateczną prosta konfrontacya bankiera z Varinem? Czułem się ogromnie tem wstrząśnięty. Z powodu jego nieobecności pojedynek ten, wymyślony przez niego, stawał się tragicznym biegiem wypadków, które wznieca i którymi kieruje surowa dłoń przeznaczenia, a siła fatalna, stawiąca tych ludzi przeciw sobie, była tem bardziej przerażająca, że nie tkwiła w nich, lecz poza nimi.

Andermatt blizko przystąpił do Varina i twarzą w twarz, oko w oko spytał:

— Teraz, kiedy całe lata już przeszły, kiedy niemasz czego się obawiać, powiedz mi otwarcie, Varinie, coście zrobili z Ludwikiem Lacombe?

— Także pytanie! Cóż ja mogę wiedzieć, co się z nim stało?

— Wiesz, wiesz! Ty i twój brat przyczepiliście się do niego jak cień, mieszkaliście prawie u niego, tu, w tym domu, gdzie jesteśmy w tej chwili. Znaliście wszystkie jego prace, wiedzieliście o wszystkich jego zamiarach. I ostatniego wieczora, kiedy przyprowadziłem go aż do progu mego domu, spostrzegłem dwie postacie, które usunęły się w cień. Jestem tego tak pewny, że mógłbym przysiądz.

— A dalej co?

— To byliście wy — ty i twój brat.

— Czem pan tego dowiedziesz?

— Najlepszy dowód, że we dwa dni potem przynieśliście mi papiery i plany Lacombe'a, zabrane z jego teki, i chcieliście mi je sprzedać. Jakim sposobem znaleźliście się w posiadaniu tych papierów?

— Mówiłem już to panu, panie Andermatt, znaleźliśmy je na stole samego Lacombe'a nazajutrz rano po jego zniknięciu.

— To nieprawda!

— Dowiedź pan tego!

— Sąd dowiódłby.

— A dlaczego nie zwróciłeś się pan do policyi?

— Dlaczego? hm, dlaczego...

Twarz mu spochmurniała; zamilkł. A Andermatt mówił:

— Widzi pan, gdyby szanowny pan miał chociaż odrobinę pewności, nie zatrzymałaby pana ta mała pogróżka.

— Jaka pogróżka? Listy? Czy wyobrażasz pan sobie, że wierzyłem chociaż przez chwilę?...

— Jeśli pan w nie nie wierzył, to dlaczego ofiarowywałeś pan setki i tysiące, aby je wykupić? I poco potem kazałeś pan nas ścigać, mnie i brata, jak dzikie zwierzęta?

— Abyście oddali plany, o które mi szło.

— O, wcale nie! Szło panu o listy. Skoro tylko dostałbyś je w ręce, zadenuncyowałbyś pan nas. Tem prędzej, im łatwiej byś je złapał.

Parsknął śmiechem, ale pohamował się natychmiast.

— Ale dosyć już tego. Będziemy ciągle kręcić się w kółko i nie posuniemy się ani kroku naprzód. Prawdopodobnie zostaniemy, gdzie jesteśmy.

— Nie pozostaniemy — odparł bankier—a ponieważ mówisz pan o listach, nie wyjdziesz stąd, zanim mi ich nie oddasz.

— Wyjdę!

— Nie!

— Posłuchaj pan, radzę panu...

— Nie wyjdziesz stąd!

— To zobaczymy! — powiedział Varin z takim akcentem złości, że pani Andermatt nie mogła powstrzymać się od lekciutkiego okrzyku.

Varin musiał go posłyszeć, bo chciał przebojem utorować sobie drogę. Pan Andermatt odepchnął go gwałtownie. Wtedy spostrzegłem, że ręka Varina wsunęła się do kieszeni żakietu.

— Po raz ostatni! — zawołał.

— Pierwej listy!

Varin wyjął rewolwer i zmierzył w pana Andermatta.

— Tak, czy nie?

Bankier pochylił się szybko.

Rozległ się wystrzał. Broń upadła.

Stałem zdumiony. Wystrzał padł koło mnie. To Daspry wystrzałem z pistoletu wytrącił broń z ręki Varina.

I nagle, stanąwszy między dwoma przeciwnikami, zwrócony do Varina, zawołał szyderczo:

— Zapędzasz się przyjacielu, straszliwie się zapędzasz. Mierzyłem w rękę, a kula trafiła w rewolwer.

Obydwaj przeciwnicy patrzyli nań, nieruchomi i zdumieni. Daspry rzekł do bankiera:

— Niech pan wybaczy, że mieszam się do tego, co do mnie nie należy. Ale naprawdę, grasz pan bardzo niezręcznie. Pozwól pan, że ja wezmę karty.

I zwracając się do Varina:

— Zagrajmy towarzyszu. A proszę cię, żywo! Atutem jest kier, wychodzę z siódemki!

I o trzy cale od nosa podsunął mu tabliczkę żelazną, na której jaśniało siedm znaczków czerwonych.

Nigdy nie zdarzyło mi się widzieć podobnego wyrazu przerażenia. Blady, z wytrzeszczonemi oczyma, z rysami wykrzywionymi męką, człowiek ten zdawał się być zahypnotyzowany zjawiskiem, które nagle mu się ukazało.

— Kto pan jesteś? — wybełkotał.

— Mówiłem już: ten, który zajmuje się tem, co do niego nie należy... ale zajmuje się gruntownie.

— Czego pan żądasz?

— Wszystkiego, coś przyniósł.

— Nic nie przyniosłem.

— Przyniosłeś; inaczej nie byłbyś przyszedł. Dziś rano otrzymałeś wezwanie na godzinę dziewiątą, nakazujące ci tu przynieść wszystkie, znajdujące się w posiadaniu twojem papiery. Przyszedłeś. A gdzie są papiery!

W głosie Daspry'ego, w całem jego zachowaniu się przebijała się wyniosłość, która mnie ogromnie dziwiła. Jak na człowieka, zwykle bardziej miękkiego i swobodnego, taki sposób postępowania był zupełnie niezwykłym. Całkowicie poskromiony, Varin wskazał na jedną ze swych kieszeni.

— Papiery są tu.

— Wszystkie?

— Tak.

— Wszystkie te, które znalazłeś w tece Ludwika Lacombe'a i potem sprzedałeś majorowi von Lieben?

— Tak.

— Czy to są kopie, czy oryginały?

— Oryginały.

— Ile chcesz za nie?

— Sto tysięcy.

Daspry wybuchnął.

— Zwariowałeś! Major dał ci tylko dwadzieścia tysięcy. Dwadzieścia tysięcy wrzucono do wody, bo próby nie udały się.

— Nie potrafili zastosować planów.

— Plany nie są kompletne.

— Więc pocóż pan ich żądasz?

— Są mi potrzebne. Daję za nie pięć tysięcy franków. Ani grosza więcej.

— Dziesięć tysięcy. Ani grosza mniej.

— Zgoda.

Daspry zwrócił się do pana Andermatt.

— Zechciej pan czek podpisać.

— Kiedy nie mam... tu z sobą...

— Swego notatnika? Oto proszę.

Ogłuszony pan Andermatt dotykał palcami notatnika, który Daspry mu podał.

— Naprawdę... mój... Jakim to sposobem?

— Bez próżnych słów łaskawy panie; proszę tylko czek podpisać.

Bankier wysunął stylograf i podpisał. Varin wyciągnął rękę.

— Łapy na dół! — zawołał Daspry — jeszcześmy nie skończyli.

I zwracając się do bankiera, zapytał:

— I szło tu także o listy, które pan mieć życzyłeś?

— Tak jest; o pakiet listów.

— Varin, gdzie są listy?

— Nie wiem. Mój brat tem się zajmował.

— Są tu ukryte, w tej sali.

— Zatem pan wie, gdzie się znajdują?

— Skądże mógłbym wiedzieć?

— Ba! Alboż nie pan otwierałeś skrytkę? Pan o niej tak dobrze zdajesz się wiedzieć, jak... Salvator.

— Listów niema w skrytce?

— Są.

— Otwórz ją!

Varin spojrzał podejrzliwie. Czy Daspry i Salvator, jak to wszystko kazało przypuszczać, nie są jedną osobistością? Jeśli tak, to nic nie ryzykował, odkrywając skrytkę już znaną. Jeśli zaś nie, byłoby nieużytecznem...

— Otwórz ją! — powtórzył Daspry.

— Nie mam siódemki kierowej.

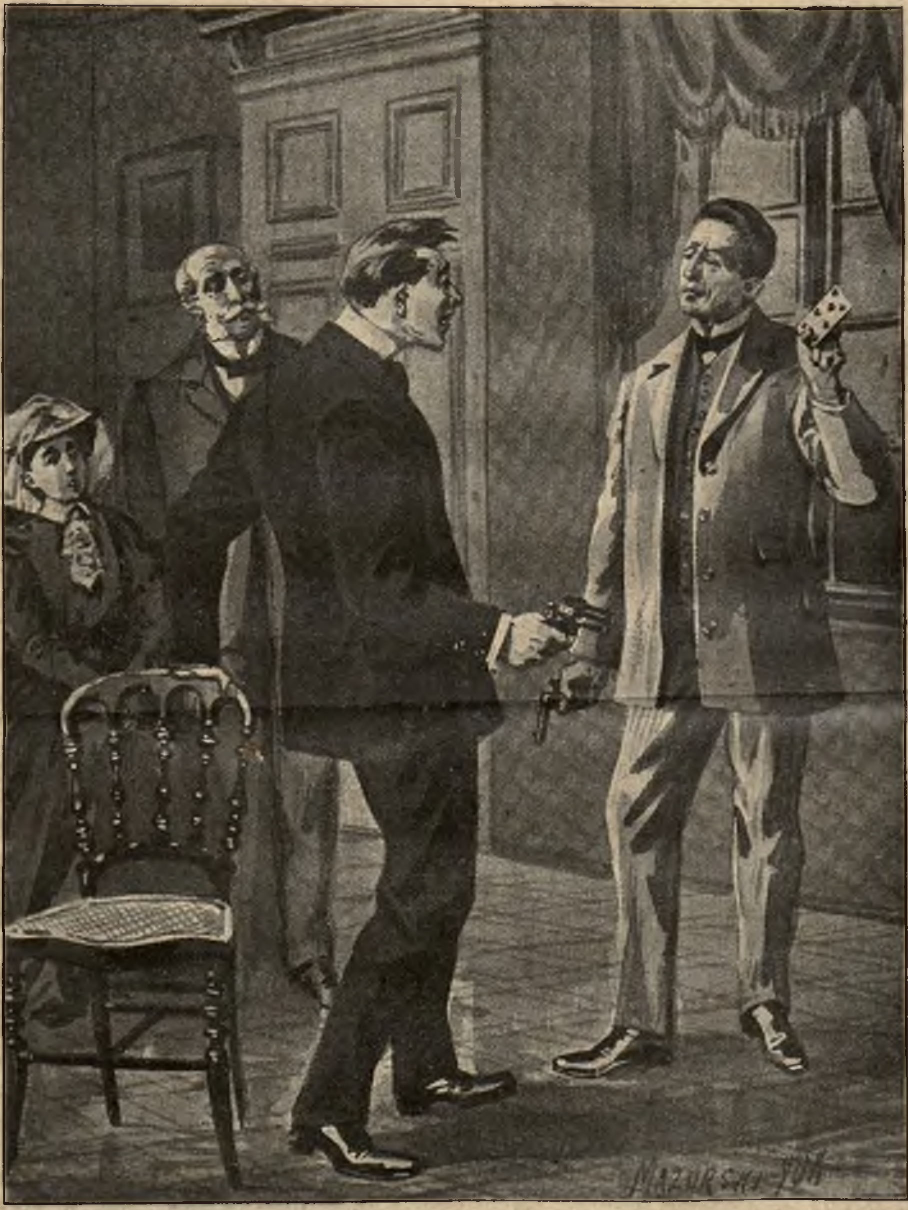
— Masz tę — rzekł Daspry, podając mu blaszkę żelazną.

Varin cofnął się ze wstrętem.

— Nie... nie... nie chcę...

— Więc mniejsza o to.

Daspry zbliżył się do starego monarchy z kolorową brodą, wskoczył na krzesło i przyłożył siódemkę kierową do miecza u dołu, przy samej rękojeści w taki sposób, że brzegi tabliczki przylegały ściśle do obu brzegów miecza. Potem szydełkiem, które zagłębiał kolejno we wszystkie siedm otworów, znajdujących się na końcach siedmiu serc, przyciskał mocno drobne kamyczki mozaiki. Za siódmem pociśnięciem popiersie króla skręciło się jakby na osi i ukazał się szeroki otwór nakształt wnętrza skrzynki, obity żelazem i zaopatrzony dwiema listwami błyszczącej stali.



I podsunął mu tabliczkę żelazną, na której jaśniało siedm znaczków...

— Widzisz dobrze, skrzynka jest pusta.

— W istocie... To znaczy, że brat mój wyjął stąd listy.

Daspry powrócił do Varina i rzekł mu:

— Żadnych sztuk ze mną. Jest drugi schowek; gdzie się znajduje?

— Niema.

— Czy to pieniędzy chcesz? Ile?

— Dziesięć tysięcy.

— Panie Andermatt, czy listy mają dla pana wartość dziesięciu tysięcy?

— Tak — odrzekł bankier mocno.

Varin zamknął skrzynkę, nie bez wstrętu wziął do rąk siódemkę żelazną i przyłożył ją do miecza na rękojeści, zupełnie w tem samem miejscu, jak to czynił Daspry. Potem zagłębiał ostrze w koniuszkach siedmiu serc. Nastąpiło powtórne uchylenie króla, aby tym razem, rzecz nieoczekiwana, uchyliła się także część skrzynki, odsłaniając mały schowek, umieszczony w grubości samych drzwiczek, które zamykały skrytkę większą.

Leżała tam paczka listów, związana sznurkiem i opieczętowana. Varin oddał ją Daspry'emu. Ten zapytał:

— Panie Andermatt, czy czek jest gotów?

— Tak.

— I masz pan także ostatni dokument, dopełniający plany podwodnego statku Lacombe'a?

— Mam.

Nastąpiła zamiana. Daspry schował do kieszeni czek i dokument, a panu Andermattowi podał paczkę listów.

— Oto listy, których pan żądałeś.

Bankier zawahał się przez chwilę, jakby obawiał się dotknąć tych kartek przeklętych, których przez czas długi poszukiwał z taką zawziętością. Potem ruchem nerwowym ujął je.

Tuż przy mnie ozwał się jęk. Chwyciłem rękę pani Andermatt: była zimna jak lód.

A Daspry mówił bankierowi:

— Sądzę, że rozmowa nasza skończona. O, proszę! żadnych podziękowań. Przypadek jedynie pomógł, że mogłem usłużyć panu.

Pan Andermat wyszedł; unosił z sobą listy swojej żony do Ludwika Lacombe'a.

* * *

— Wyśmienicie! — z uniesieniem wykrzyknął Daspry — wszystko się składa, jak nie można lepiej. Teraz kolego mamy tylko skończyć naszą sprawę. Masz papiery?

— Są tu wszystkie.

Daspry przejrzał je, zbadał uważnie i wsunął sobie do kieszeni.

— Doskonale; dotrzymałeś słowa...

— Ale...

— Ale co?

— Dwa czeki?... Pieniądze?...

— Oho, pewnyś siebie mój poczciwcze. Cóż to, ośmielasz się żądać?

— Żądam tego, co do mnie należy.

— Należy ci się za papiery, które skradłeś?

Varin odchodził od siebie. Trząsł się ze złości, oczy nabiegły mu krwią.

— Pieniądze... dwadzieścia tysięcy... — bełkotał.

— Niemożebne... są w mojem ręku.

— Pieniądze!

— Ciszej! bądźże rozsądny, zostaw swój sztylet w spokoju.

I chwycił go za rękę tak potężnie, że Varin aż zawył z bólu, a sam mówił dalej:

— Przejdź się kolego, świeże powietrze cię orzeźwi. Czy życzysz sobie, abym cię przeprowadził? Przejdziemy się tam, przez ogród pusty; pokażę ci pewien wzgórek gruzów, pod którymi...

— To nieprawda! nieprawda!

— Owszem, to prawda. Ta żelazna blaszka z siedmiu czerwonymi znaczkami stamtąd pochodzi. Ty i twój brat zakopaliście ją razem z trupem... i innemi rzeczami, które bardzo interesują policyę.

Varin zakrył sobie twarz konwulsyjnie zaciśniętemi pięściami. Potem odezwał się:

— Dobrze. Przegrałem. Nie mówmy o tem. Wszakże słowo jeszcze... jedno słówko... chciałbym wiedzieć...

— Słucham.

— Czy w tej skrzynce, większej, była druga, mniejsza?

— Tak.

— I była także, kiedy byłeś pan tu w nocy z 22 na 23 czerwca?

— Tak.

— I co w niej było?

— Wszystko, co bracia Varin w nią schowali, dość piękny zbiór klejnotów, brylantów, pereł, zgrzebanych na prawo i na lewo przez tych, tak zwanych braci.

— I pan ją wziąłeś?

— Ba! Postaw się na mojem miejscu.

— A więc... to spostrzegłszy zniknięcie tej kasetki mój brat się zabił?

— Prawdopodobnie. Zniknięcie waszej korespondencyi z majorem von Lieben nie byłoby dostateczną przyczyną. Ale zniknięcie kasetki... Czy to wszystko, co chciałeś wiedzieć?

— Jeszcze jedno: pańskie nazwisko?

— Mówisz tak, jakbyś myślał o odpłacie.

— Do dyabła! Los się zmienia. Dzisiaj pan jesteś silniejszy, jutro...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wystawa kucharsko-spożywcza we Lwowie.

W pałacu sztuki na lwowskim placu powystawowym została otwartą w ubiegłą sobotę międzynarodowa wystawa kucharsko-spożywcza, ku uczczeniu jubileuszu cesarza Franciszka Józefa nazwana jubileuszową. Pierwszy raz mieści pałac sztuki tego rodzaju wystawę. A było ich tam już bardzo wiele i najrozmaitszego rodzaju. Po dziełach sztuki rozsadawiały się tam kolejno: wyroby przemysłu krajowego, kwiaty, śliwki, gołębie, króliki, fonografy, psy i inne ryczące i nieryczące kawałki. Teraz zaś zastawiono wszystkie sale wyrobami przemysłu kucharskiego, oraz przedmiotami, mającymi jakąkolwiek z nim styczność. Nawet buty, automobile, kwiaty, porcelana i t. d. znalazły tam miejsce. Całość przedstawia się wcale udatnie, choć dla szerokiego ogółu publiczności większego interesu nie budzi.

Z pomiędzy wystawców lwowskich jedno z pierwszych miejsc przyznają ogólnie fabryce cukrów, czekolady i herbatników p. f. Jan Höflinger, od lat sześciu pozostającą pod kierownictwem obecnego właściciela, p. Tadeuszu Höflingera. Fabryka ta, założona przed 12 laty, rozwinęła się ze skromnych początków wprost wspaniale i dziś zajmuje całą trzypiętrową, własną kamienicę przy ul. Teatralnej l. 8 we Lwowie, zatrudniając stale personal, złożony z przeszło 70 osób. Najnowszego systemu maszyny wyrabiają ogromne ilości wspomnianych wyżej artykułów, eksportowanych już dziś masowo do całej Galicyi, Bukowiny i na Węgry. Wyroby p. Höflingera wypierają też skutecznie obce „Cabosy“ i „Koestliny“, w dwu własnych zaś sklepach oraz w sklepach odbiorców na prowincyi konkurują z rozmaitymi wyrobami zagranicznymi.

Wyroby tej fabryki, ułożone na wystawie lwowskiej systematycznie i apetycznie, stanowią jeden z najpiękniejszych jej punktów. Inne „śliczności“ zaprodukował na wystawie p. Aleksander Włoczkowski, obecny restaurator hotelu „pod Różą“ w Krakowie i jedyny z krakowskich kuchmistrzów, który w wystawie tej wziął udział. P. Włoczkowskiego zna już publiczność krakowska, zna publiczność lwowska, a zna go i szach perski. Kiedy mianowicie w r. 1905 szach perski bawił we Lwowie i mieszkał w hotelu George'a, p. Włoczkowski był restauratorem tego hotelu i wytworami swej kuchni karmił dostojnego gościa. Głośne też stały się wówczas ogórki tego kuchmistrza, odznaczające się specyalnym smakiem i zapachem, a tak wyborne, iż szach kazał sobie dać przepis na nie. Ogórki te są na wystawie lwowskiej a publiczność kosztuje je z wielkim apetytem. Jest też serwis, na którym jadał szach. Po za tem przedstawił p. Włoczkowski swój nadzwyczajny sos pomidorowy, specyalny pasztet, umieszczony w bażancie, oraz znakomitą nalewkę, renglotówkę. Wszystko to pomieszczone w małym, ale nadzwyczaj gustownie przez p. Włoczkowskiego udekorowanym kiosku, gromadzi mnóstwo ciekawej publiczności.

Wystawa, otwarta w ubiegłą sobotę, trwać ma do połowy października. W otwarciu uroczystem uczestniczył namiestnik dr. Bobrzyński, imieniem protektora ministra dr. Korytowskiego, marszałek Stanisław hr. Badeni, komendant placu gener. Czibulka, prezydent miasta Ciuchciński, wielu posłów, radnych i t. d.

W niniejszym numerze zamieszczamy zdjęcie fotograficzne uczestników otwarcia wystawy, oraz dwa najważniejsze kioski.



Wystawa kucharsko-spożywcza we Lwowie. Kiosk p. Aleksandra Włoczkowskiego.



Nowy profesor krakowskiej wszechnicy: Prof. Dr. Stanisław Dobrowolski.



Wystawa kucharsko-spożywcza we Lwowie: Uczestnicy otwarcia wystawy przed pałacem sztuki. W środku namiestnik J. E. dr. Bobrzyński (X), marszałek St. hr. Badeni (1), komendant placu jenerał Czibulka (2), i prezydent miasta Ciuchciński (3).

Z życia dnia

(Koniec świata. — Uznanie jaroszów. — Posiedzenie Rady. — Kraków a Lwów. — Kłopoty króla Piotra. — Do Bośni. — Teatr. — Polityka bałkańska. — Sejm. — Ambasador ukraiński w Krakowie. — Niemcy w Galicyi).

Pod zupełnie kiepskiem wrażeniem zaczynam obecną kronikę. Koniec świata już się zbliża, tak, jakby już był. Bo proszę sobie wyobrazić, czy nie są to oznaki jego, wedle słów biblii, że wówczas będą widziane znaki na niebie i ziemi. A czy to nie jest ów przez pismo święte przepowiedziany znak, że nasz tak lojalny i konserwatywny *Czas* skonfiskował bezbożny prokurator i to za artykuł, który wyszedł z pod pióra księdza? Drugim znakiem nadprzyrodzonym to protest sejmowy przeciw wyborom z pierwszej kuryi! Czegoś podobnego jeszcze u nas nie było! Mieliśmy już protesty z kuryi wiejskiej, miejskiej, ba, nawet z izb handlowych, ale, aby zaprotestowano wybór z pierwszej kuryi, to przecież coś niezwykłego! Już zaczynałem się przygotowywać do podróży w nadziemskie okolice i to nawet bez współudziału pp. Szafrańskiego i Wolnego, bo i oni wtedy powędrują razem z nami, gdy doręczono mi z poczty dyplom honorowy, wystawiony przez krakowskich „jaroszów“, którzy za nawoływania moje o bojkot mięsa, czynią mnie swym członkiem honorowym. Może i zgodziłbym się na ten zaszczyt, ale ciągle przypomina mi się owa „Fotodera“, założona przez jakiegoś p. Duncana, której członkowie mają pić tylko wodę i jeść sałatkę, a sam założyciel pija greckie wina i je bifsztyki. Jeśli i nasi jarosze tak samo robią, to nie życzę sobie być nawet ich członkiem honorowym.

Do tej „Fotodery“ wybierałem się swojego czasu, ale nie mogłem się jakoś zdecydować, zwłaszcza wobec niepewnych stosunków, jakie panują na półwyspie Bałkańskim. Dzięki uprzejmości jednego z moich znajomych miałem nawet już przyobiecane wypożyczenie miejskiego automobilu wodociągowego, bałem się jednak, aby Bułgarya, zabrawszy Turcyi kolej, nie sięgnęła i po mój automobil, gdyby tak wypadło przejeżdżać przez jej obszary, bo któż tam wie, która droga lepsza. Powiadają, że tamtejsze drogi są tak doskonałe, jak nasze galicyjskie.

Nie wybrawszy się więc do „Fotodery“ zostałem w galicyjskiej „Abderze“, zwłaszcza, że odbyć się miało we wtorek 29 września pierwsze posiedzenie powakacyjne krakowskiej Rady miasta. I nie żałuję wcale, że zostałem. Czcigodni nasi ojcowie miasta, którzy nie mieli przez kilka miesięcy sposobności wykłócenia się, chyba ze swojemi żonami, ale to rzecz prywatna, zostawili cały zasób swej elokwencyi na pierwsze posiedzenie. Gryzł więc Daszyński Beringera, potem Federowicz Daszyńskiego, aż wreszcie profesor Bujwid, bojąc się przepełnienia swego zakładu, powziął zamiar zwinięcia go, co prasa nasza przyjęła z ogromną żałością. Słyszałem, że podobno prof. Bujwid ma zamiar przenieść się do jakiejś niemieckiej prowincyi, gdzie wobec szerzącej się między Niemcami narodowo-językowej wścieklizny będzie miał daleko szersze pole do popisu, niż u nas, gdzie tylko psy się wściekają! Ale bo i nasze psy mają powód do wścieklizny, widząc, jak je magistrat zaniedbuje. Czytaliśmy niedawno, że we Lwowie zaprowadzono nowe wozy dla rakarza miejskiego, gdzie psy mają osobne przedziały, tak, jak w tramwaju, u nas zostało wszystko po staremu, pinczerek pani hrabiny musi się gnieść w jednym przedziale z kundysem jakiegoś tam przeciętnego obywatela, a nikt się o to nie upomni!

Już to wogóle Kraków nie może, czy nie umie dorównać Lwiemu grodowi. Tam są automobile do śmieci, a u nas tylko do wodociągów, tamtejsze mężatki kiwają swych mężów, u nas nie chce tego zrobić nawet teściowa, tam walczy „chudy“ Diamand o czteroprzymiotnikową ordynacyę wyborczą do sejmu... a u nas? Aż żal bierze, jak ten Kraków schodzi na psy, nawet nikt nie postawił wniosku, aby wybrać trzeciego wiceprezydenta miasta, jak we Lwowie. Boję się, czy wobec tego sąsiednie gminy nie objawią ochoty połączenia się z Bierzanowem, zamiast ze starą stolicą Piastów. To było także powodem, że książe Ferdynand bułgarski nadesłał mi kartkę (nieopłaconą), w której dziękuje za starania około jego kandydatury do Rady miejskiej w Podgórzu, gdyż, jak powiada, woli siedzieć sobie w Bułgaryi, niż mieszać się w nasze stosunki. Moja notatka w poprzedniej kronice była właśnie powodem, że książe przerwał swą podróż i powrócił między swych ukochanych Bułgarów.

Zato sąsiad jego, król Piotr serbski, byłby bardzo zadowolony, gdyby mu się udało wyleźć z honorem z tej kabały, w jaką wlazł. Ostatnie oskarżenia, jakie czytałem w dziennikach, skierowane przeciw jego królewskiej mości, są tak paskudne, że nawet Austrya, która dotąd milczała w sferach bałkańskich, nie może się zdecydować, aby go przyjąć, a wybiera się do Wiednia już od dłuższego czasu.

„Kral Petar“ byłby, zdaje się, lepszy do operetki niż do koncertu mocarstw europejskich i bardzo żałuję, że mi niebiosa nie dały zdolności Lehara, uwieczniłbym jego królewską mość jaką operetką w guście „Wesołej wdówki“. Cichaczem się przyznam, że król Piotr, który bacznie śledzi bieg europejskiej polityki, gdyż jest prenumeratorem naszego pisma, napisał do mnie kartkę korespondencyjną z zapytaniem, czy mógłby się starać o mandat do Rady miejskiej, zastrzegł się jednak, że z tym warunkiem, jeśli Daszyński nie będzie go nigdy interpelował w Radzie i jeśli mu się uda kupić choć z 200 sążni kwadratowych z gruntów pofortyfikacyjnych. Odpowiedziałem zaraz, że zupełnej gwarancyi dać nie mogę, gdyż i tak jestem na bakier z Radą miejską co do kwestyi ogrodu koło Biblioteki Jagiellońskiej. Pan dr. Uromski rwał mi kiedyś zęba i przy tej sposobności prowadziłem z nim dyskurs co do zabudowania tej części plantacyi. Ja twierdziłem, że u nas, byle był jakiś impuls zewnętrzny, to sprawa pójdzie naprzód, on utrzymywał, że szkoda gadania, niech jeno jeden coś powie, reszta goni jak barany za przewodnikiem. Kto miał słuszność, nie wiem, ale zdaje mi się, powinien zwyciężyć zdrowy rozsądek, że plantacyi nie powinno się uszczuplać.

Nim jednak doczekamy się spełnienia mojej przepowiedni, kto wie, czy nie będzie trzeba pomaszerować do Bośni w obronie szerszej ojczyzny. W kotle bałkańskim zawrzało, a przy tym ogniu każdy chciałby upiec swą pieczeń. I ja także nie bezinteresownie tam się wybieram, gdyż spodziewam się, że mi się może uda co zdobyć. Głównie mam na celu haremy bogatych Turków; oni sami zajęci wojną i polityką nie mają czasu ich pilnować, mógłby się więc człowiek ładnie obłowić, a potem jazda do Ameryki! Przedtem jednak musi się człowiek należycie nacieszyć doczesnemi rozrywkami. A czas potemu najwyższy, gdyż od Nowego Roku nie będzie można nawet chodzić do teatru miejskiego. Są dwie alternatywy: albo Rada miejska podniesie cenę biletów, będą więc za drogie na nasz chudy worek, albo zastrejkują artyści i zamknie się budę.

Na całym świecie starają się miarodajne czynniki, aby o ile możności ułatwić szerszej publiczności korzystanie z tak kulturalnej rozrywki, jaką jest teatr, tylko u nas dzieje się wprost przeciwnie. Gdybym wiedział, że Rada przyjmie mój projekt, zdradziłbym go, ale boję się, aby który z radców nie przywłaszczył sobie autorstwa. Oto, gdy artyści zastrejkują, nic sobie z tego nie robić, ale rozpocząć posiedzenia Rady w sali teatralnej, naturalnie za opłatą wstępu na dochód funduszu ubogich. Ręczę, że codziennie byłby teatr wysprzedany, a i panowie radcy chętnieby się schodzili na posiedzenia, gdyż bufet jest na miejscu, no są i inne bardzo wygodne ubikacye.

Wogóle horyzont polityczny zaczyna się bardzo zasnuwać czarnemi chmurami i nie wiadomo, co nam jutro przyniesie. W dniu 8 października zaczęły obradować w Budapeszcie delegacye, z racyi tej spodziewają się politycy wskazówek w mowie tronowej, które mogłyby rozjaśnić sytuacyę, zwłaszcza odnośnie do kwestyi tureckiej. Spodziewaną jest anneksya Bośni i Hercogowiny przez rząd austryacko węgierski, na co znów Anglia nie nie chce się zgodzić, gdyż wolałaby sama zabrać te kraje. Zdaje mi się, że wspólny nasz rząd narobi sobie tą anneksyą tylko niepotrzebnego kłopotu, gdyż kraje te będą potem kością niezgody między obiema połowami monarchii, i Austrya i Węgry będą sobie do niej rościć pretensyę, a jedno drugiemu ruszyć nie pozwoli.

Książe Ferdynand nie czekając aż go sułtan przeprosi, sprawił sobie na zimę nową koronę, ale królewską i ciepły płaszcz, podbity gronostajami. Jest to bardzo przezorny krok przed zimą, i ja bym sobie sprawił futro, gdybym n. b. miał odpowiednią ilość gotówki lub kredyt — „królowi“ Ferdynandowi nie będzie jednak ten zimowy garnitur potrzebny, gdyż, jak się zdaje, zaczną się dla niego, choć zima, „gorące“ czasy. A Turcya nie na żarty poczyna się gniewać, nawet krakowscy Turcy (mający po kilka żon) okazują wielkie zaniepokojenie i bacznie śledzą bieg wypadków politycznych na półwyspie Bałkańskim i w lwowskim sejmie.

W sejmie rozgrywa się walna kampania o rozszerzenie prawa wyborczego. Gdyby nasi panowie politycy widzieli, że istnieje nauka, która się zowie fizyką i że jest w niej prawo, „że ciała wszystkie na zimnie się kurczą, a w cieple swą objętość powiększają“ nie staraliby się właśnie na zimę o to rozszerzenie, boć to nie jest możliwe, jako przeciwne nauce. Konserwatyści, mężowie w naukach biegli, przeszkadzają też owemu rozszerzeniu, odkładając je na cieplejsze czasy, czyli odsyłając sprawę do komisyi, co się u nas równa lekkiemu jej pogrzebaniu. Śledziłem przebieg rozpraw sejmowych bardzo pilnie, ale gdy w debatach nad nową ustawą łowiecką usłyszałem, że nie każdemu wolno polować, choćby nawet na własnym terenie, zgniewałem się i odtąd już tego działu nie czytuję, chyba powrócę doń, gdy uchwalą „wielki“ Kraków.

W „wielkim“ Krakowie trzeba się będzie postarać i o reprezentantów państw ościennych. Pan Daszyński, który tak podchlebił Oleśnickiemu, twierdząc, że jest reprezentantem „uciśnionego narodu“, „że oczy nasze patrzą z najwyższą sympatyą na walkę, jaką Rusini prowadzą“ zostanie naturalnie ambasadorem ukraińskim. Gdy nas Ukraina będzie pędzić „za San“, będzie nam wizował paszporty na dochód funduszu agitacyjnego lub prasowego.

O ambasadora niemieckiego nie trzeba się także troszczyć, gdyż mamy między sobą tylu zwolenników germanizacyi i wszystkiego, co niemieckie, że wystarczy spotkać pierwszego lepszego ze znajomych na ulicy i już jest kandydat na ambasadora. Żaden naród nie pozwala tak lekceważyć swoich praw, jak właśnie my. Czy w niemieckich budach podają jadłospisy po polsku dla setek kuracyuszów? Nie — oni muszą się kontentować spisem niemieckim, a u nas, dla tych kilku Niemców każda restauracya sporządza spis niemiecki, i jeszcze bardzo często podaje go Polakom. Nie jestem wielkim przyjacielem Czechów za ich ucisk, stosowany wobec Polaków na Śląsku, ale każdemu podaję ich za wzór, jak należy szanować swoje prawa, aby i innych zmusić, by je także szanowali! Nie myślę tu wcale o szowiniźmie narodowym, bo i on niema racyi, jak to widzimy na stosunkach wschodnio-galicyjskich — ale takie umiarkowane poczucie godności narodowej bardzoby się nam przydało. Zniknęłyby może niemieckie i dwujęzyczne szyldy z murów starego Krakowa, a *Deutsches Volksblatt für Galizien* wtedy dopiero zacząłby wyć i biadać, bo jak teraz, to niema wcale powodu do skomlenia, że Niemcom w Galicyi źle się dzieje, są oni bowiem tak uprzywilejowaną u nas narodowością, że im chyba we własnym kraju nie może być lepiej. Choć p. Eisler z samborskiej szkoły handlowej narzeka, że jedną jedyną niemiecką szkołę handlową w Galicyi chcą spolszczyć, to niech jednak Niemców nie przeraża, gdyż w samborskiej szkole są sami żydzi, germańskiej nacyi tam nie uwidzi wcale, zamach więc kuratoryi na niemieckość szkoły wcale przeciw Niemcom nie jest skierowany. Nasi żydkowie mogą tylko skorzystać, jeśli się nauczą mówić poprawnie językiem tego kraju, którego chleb jedzą. Nadto jeśli się komu nie podoba, to wolna droga, bilet, choćby do Berlina nie wiele kosztuje. Zresztą swoimi wpływami mogę wyrobić, że rząd na własny koszt odstawi szupasem każdego do granicy.

O cholerze, jak dotąd Bogu dzięki — nic!

X.

Cholera w Rosyi.

(Do illustracyj na str. 9 i 10).

Nieproszony gość ze Wschodu coraz bardziej się ku nam zbliża. W Petersburgu liczba chorych wynosi już tysiące, w Warszawie pojawiły się także podejrzane wypadki, które uznano jako cholerę azyatycką, to też władze odnośne poczyniły pospieszne i energiczne zarządzenia przeciwcholeryczne. W Petersburgu, gdzie codziennie zapada na cholerę po kilkaset osób, wytęża się wszystkie siły, aby przeszkodzić rozszerzeniu się zarazy, w Warszawie starania idą w tym kierunku, aby jej do miasta nie dopuścić. Władze i lekarze mają tu i tam ciężki orzech do zgryzienia, gdyż natrafiają na bezmyślny opór ciemnych mas, nie uznających dobroczynnych skutków dezinfekcyi, tego głównego i najważniejszego wroga cholery, a widzących w niej tylko niepotrzebną szykanę.

W Petersburgu urządzono pogotowia cholerycZne, które na każde wezwanie spieszą na miejsce z paradą. Osoby chore przewozi się karetkami do szpitala, poczem karetka zostaje poddaną dokładnemu odkażeniu, osoby podejrzane o cholerę poddaje się badaniu i izolacyi w osobnych barakach. Jeśli badanie wykaże brak typowych objawów cholery (sinica, drgawki, prątki Kochowskie w odchodach), po kilkudniowej kwarantannie wypuszcza się pacyentów z baraku izolacyjnego, poddając ich jednak ciągłemu dozorowi lekarskiemu. Mieszkania chorych na cholerę, dezinfekcyonują się należycie, rzeczy mniej wartościowe, a mogące stać się rozsadnikami zarazy, jak ubrania i bieliznę zwykle się pali. Władze wydały także pouczenie do ludności, jak się ma zachowywać, aby uchronić się ile możności przed cholerą.

Usiłowania odnośnych czynników odniosły pożądany skutek. Cholera wprawdzie szerzy się jeszcze, jednak nasilenie jej zmalało, udało się nadto nie wypuścić jej poza mury miasta Petersburga. Warszawa przygotowała się również na przyjęcie nieproszonego gościa, a sąsiednie mocarstwa zarządziły na granicy dokładną rewizyę sanitarną, by przeszkodzić zawleczeniu tej zarazy w swe obszary.

Illustracye nasze przedstawiają zarządzenia władz sanitarnych w Petersburgu, mające na celu zwalczanie zarazy, jak i szczepienie ochronne, przewożenie chorych i dezynfekcyę.

Z Persyi.

Od czasu ogłoszenia konstytucyi w Turcyi oczy Europy zwróciły się w tamtą stronę, śledząc bacznie bieg wypadków na półwyspie Bałkańskim. O Persyi prawie zapomniano, choć stosunki tamtejsze wcale się na lepsze nie zmieniły. Ogniskiem ruchu rewolucyjnego jest zawsze Tebris. Od czasu klęski wojsk rządowych, pobitych przez powstańców pod wodzą Satar-chana sytuacya się jeszcze bardziej zaostrzyła.

Persya stoi obecnie w przededniu wyborów do nowego medżilisu (parlamentu), które rozpisano na październik, czy to jednak co pomoże, nie wiadomo. Wojska wierne dotąd szachowi, straciły swą junackość natrafiwszy na zorganizowany i zbrojny opór ludności zwłaszcza w Tebris i odtąd zaczyna się już gwałtowne usuwanie się gruntu z pod nóg rządu perskiego. Kraj cały wydany jest na pastwę band rozbójniczych z jednej strony, oraz na rabunkową gospodarkę wojsk z drugiej — nic też dziwnego, że skutkiem tego upadł zupełnie handel i przemysł, a nędza zaczyna się szerzyć z przerażającą szybkością. Anarchia, jaka panuje w kraju, spowodowała najbardziej interesowane w sprawach perskich mocarstwa t. j. Anglię i Rosyę do wydania wspólnej noty, w której znajduje się groźba interwencyi obu tych mocarstw w razie, gdyby niebezpieczeństwo, grożące interesom Europejczyków, nie zostało zażegnane. To też rząd perski chwyta się wszelkich możliwych sposobów, aby zaprowadzić w swych granicach choć jaki taki porządek. Częściowo się to udało, bandy rozbójnicze, grasujące po kraju rozprószono, więzienia są przepełnione, a kat także nie próżnuje. Wogóle wymiar sprawiedliwości w Persyi jest bezwzględnie surowy, za lekkie nawet przewinienia poddają delikwenta torturowaniu, a już kara plag w obnażone podeszwy jest prawie na porządku dziennym.



Wystawa kucharsko-spożywcza we Lwowie: Wyroby fabryki p. f. Jan Höflinger.

Egzekucye odbywają się publicznie wobec reprezentantów władz i tłumów ludności, a mają az zadanie uspokojenia wzburzonych umysłów. Właściwie cała Persya znajduje się obecnie w stanie wojennym, a zastój przemysłowy, który jest tego wynikiem przynosi państwu nieobliczone szkody. Ludność, nie biorąca udziału w ruchu rewolucyjnym, zubożała skutkiem wypadków bieżących, degeneruje się jeszcze bardziej przez używanie tak zabójczego narkotyku, jakim jest opium. Nałóg ten zastraszająco szerzy się między miejscową ludnością tak, że nasze pijaństwo jest niczem w porównaniu z tą namiętnością, a wiadomo, jak bardzo zgubne są skutki palenia opium tak dla samych używających go, jak i dla ich przyszłego pokolenia.

W załączonych do artykułu rycinach przedstawione są sposoby egzekucyj perskich, oraz palacz opium, odurzony zabójczym narkotykiem, który mu jednak pozwala zapomnieć bodaj na chwilę o troskach i kłopotach.



Z Persyi: Egzekucya w Teheranie. Wymierzanie plag na obnażone podeszwy delikwenta.

Nowy profesor krakowskiej wszechnicy.

Profesorem położnictwa w szkole położnych i kierownikiem tejże szkoły zamianowany został znany i ceniony dla swej nauki i zalet osobistych, dotychczasowy docent położnictwa Dr. Stanisław Dobrowolski. Nowy profesor urodził się we Lwowie w r. 1873, wydział lekarski ukończył w r. 1896 na uniwersytecie krakowskim. Początkowo praktykował na oddziale chirurgicznym szpitala św. Łazarza pod ś. p. prof. Obalińskim, potem jako elew w klinice chirurgicznej, wreszcie w r. 1898 przeniósł się do kliniki położniczej jako asystent. Obowiązki te pełnił przez sześć lat z rzędu. W r. 1903 habilitował się jako docent położnictwa i ginekologii. Od r. 1902 zastępował bardzo często szefa swego ś. p. prof. Jordana w wykładach i kierownictwie kliniki, po jego śmierci miał ją urzędownie powierzoną sobie wraz z wykładami położnictwa dla słuchaczów medycyny. Prof. Dobrowolski pracował nadto w anatomiczno-patologicznym in-

stytucie i w laboratoryum bakteryologicznem. Ogłosił też szereg prac naukowych w fachowych czasopismach lekarskich, a nadto wraz z prof. Jordanem wydał specyalny podręcznik dla lekarzy i uczniów. Nominacyę nowego profesora powitać należy ze szczerem uznaniem, a pod jego światłem kierownictwem szkoła położnych będzie się też nadal rozwijać pomyślnie.



Z Persyi: Palacz opium.



Wykrycie tajnej drukarni w Warszawie: Dom przy ul. Foksal 8, w którym odkryto tajną drukarnię.

Ustąpienie artystki.

(Do illustracyi na str. 8).

W ubiegłym miesiącu opuściła deski sceny Teatru Nowości w Warszawie ulubienica publiczności Michalina Łaska, która chlubnemi głoskami zapisała się w dziejach sceny warszawskiej, jako znakomita artystka. W licznych swych występach w najulubieńszych operetkach czarowała publiczność swym miłym głosem, artystyczną grą i tym wdziękiem, który musi być wrodzony, gdyż nabyć go nawet najdłuższą praktyką nie można. Łaska, to osobistość nader popularna w Warszawie. Był czas, kiedy o niej wszyscy mówili, a dowodem sympatyi, jaką się cieszyła i wdzięku, którym podbijała oporny na strzały amora ród męski, okoliczność, że zmarły nagle ś. p. generał Puzyrewski chciał ją poprowadzić do ołtarza, śmierć jednak nagła nie pozwoliła uskutecznić zamiaru. Syta laurów i uznania publiczności teatralnej, a ta w Warszawie jest przecież bardzo wybredną i lada czem się nie da zadowolnić, porzuciła p. Łaska karyerę sceniczną ku wielkiemu zmartwieniu licznych wielbicieli swego talentu, którzy wątpią, czy znajdzie się rychło godna następczyni, którąby potrafiła zapełnić tę lukę, jaką jej ustąpienie zrobiło w szeregach drużyny artystycznej warszawskiej. Pani Łaska przenosi się na stały pobyt do Paryża.

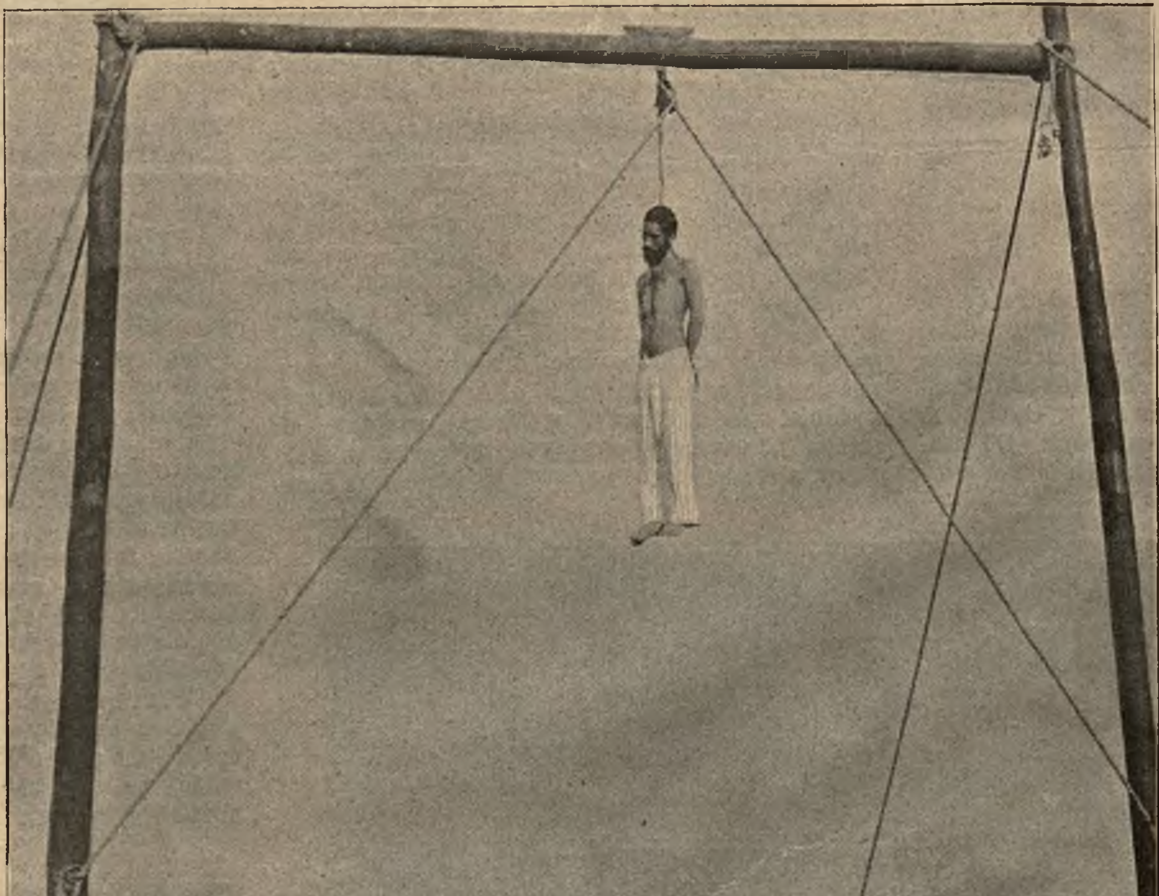
Krakowski klub studentów cyklistów.

(Do illustracyi na str. 10).

W bieżącym roku zawiązał się klub studentów cyklistów Krakowa i Podgórza, do którego należy młodzież szkół średnich obu miast. Klub ten, zawiązany za wiedzą radcy Sołtysika, zostaje pod nadzorem i przewodnictwem profesorów, głównie prof. R. Wacka z Podgórza i prof. J. Jaworskiego z II. szkoły realnej w Krakowie. Celem klubu jest urządzanie wycieczek naukowych w okolice Krakowa, zapoznawanie się z ich przeszłością historyczną, urządzanie rejów na festynach na cele szkolne i wyścigów, co prowadzi do wyrobienia wytrwałości i systematyczności w jeździe na kole.

Nowemu klubowi życzymy serdecznie jak największego wzrostu i rozwoju, cel jego, tak doniosły, powinien się stać bodźcem dla młodzieży do jak najliczniejszego przystępowania doń w charakterze członków, boć zyska na tem i zdrowie i umysł. Młodzież poznawszy piękność własnego kraju i jego przeszłość historyczną, nauczy się go kochać i postara się, by z czasem stanąć godnie w szeregu zasłużonych dla jego dobra obywateli. Przyjazny stosunek kierowników klubu do jego młodych członków, przyczyni się też wielce do zacieśnienia tych węzłów, jakie powinny łączyć nowoczesnego pedagoga z poruczonem jego pieczy młodem pokoleniem.

Obok podajemy zdjęcie członków nowego klubu wraz z jego przewodnikami.



Z Persyi Stracenie rewolucyonisty w Teheranie.

Zjazd urzędów pośrednictwa pracy w Pradze.

(Do illustracyi na stronie 2).

W dniach 21. do 23. września br. odbył się w Pradze pod przewodnictwem profesora uniwersytetu w Grazu, dra Ernesta Mischlera drugi zjazd urzędów pośrednictwa pracy w Austryi. W zjeździe uczestniczyło z górą sto osób tudzież delegaci zagranicznych urzędów pośrednictwa. Austryackie ministerstwa wysłały także swych przedstawicieli. Z Polaków wzięli udział dr. Zbigniew Pazdro, kierownik krajowego biura pośrednictwa pracy w Wydziale krajowym, dr. Kazimierz Kumaniecki, naczelnik krakowskiego urzędu i adwokat z Krakowa dr. Caro. Dla nas najciekawszą była dyskusya w pośrednictwie ze względu na zagraniczny rynek pracy. W dyskusyi, dr. Sunder z Darmstadtu usiłował wykazać niewinne intencye rządu pruskiego co do zaprowadzenia legitymacyj robotniczych, wywody te zbił jednak dr. Caro na podstawie tekstu dotyczącego rozporządzenia.

Do zarządu związku publicznych biur pośrenictwa pracy w Austryi wybrano dra Kumanieckiego z Krakowa. Jest to pierwszy Polak w zarządzie Związku.

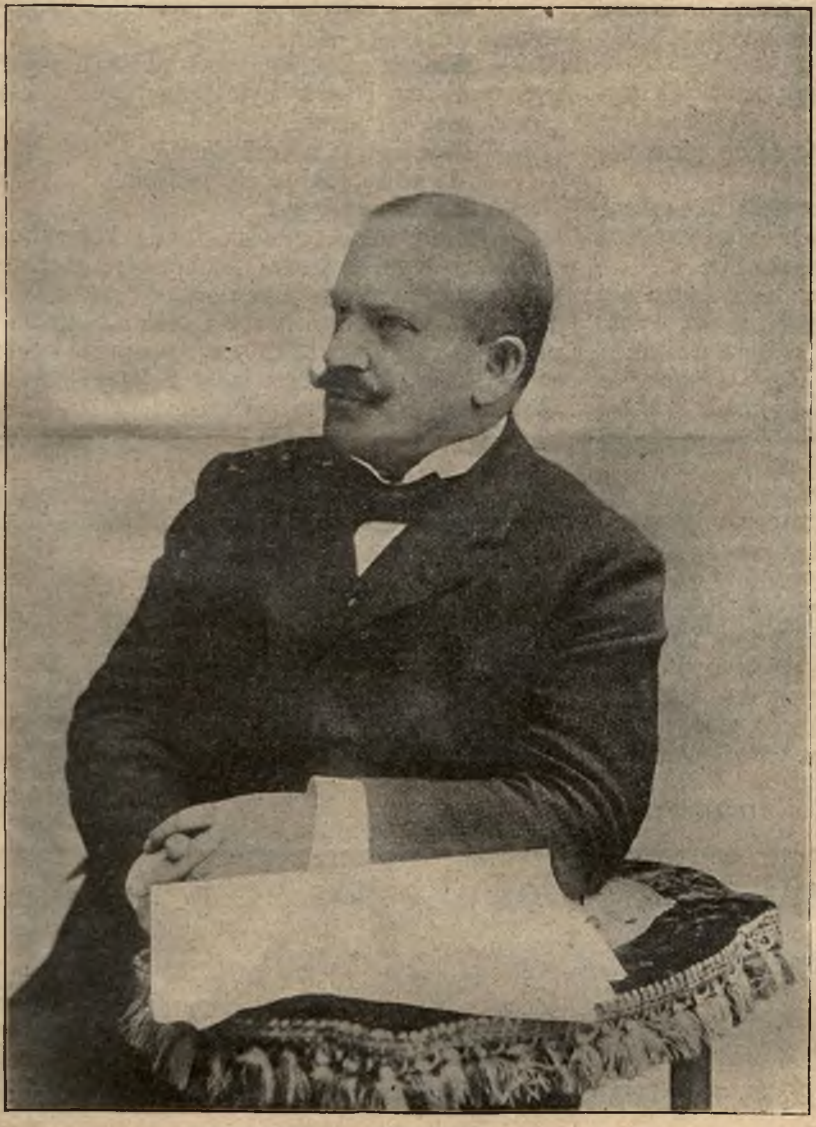
Po ukończeniu obrad uczestnicy zwiedzili stacye zaopatrzenia i urzędy pośrednictwa pracy w Kładnie i Zatec. Dr. Pazdro i dr. Kumaniecki na zaproszenie czeskiego Wydziału krajowego odbyli konferencyę z delegatami czeskich urzędów, co do dostawy robotników, poczem stwierdzono, że próby podjęte przez krakowski urząd powiodły się doskonale.

W dzisiejszym numerze podajemy zdjęcie fotograficzne uczestników zjazdu.

Nowa sztuka Przybylskiego.

W zgodnej harmonii cała prasa Krakowa przyznaje, że nowa krotochwila autora tak popularnego „Wicka i Wacka“ p. t. „Sposób na żony“ zadowoliła w zupełności i publiczność i tak wymagających recenzentów teatralnych. Autor podając nazywać, nie szukamy przecież jakichś głębszych psychologicznych zagadnień, nad których rozwikłaniem męczyłby się próżno umysł — idąc do teatru, chcemy się zabawić, a jeśli to się stało, tu jest punkt kulminacyjny jej scenicznego sukcesu.

Że Przybylskiemu w najnowszej sztuce to się przekonać, że niekoniecznie trzeba francuskiego autora, aby się wyśmienicie zabawić i wieczór przyjemnie spędzić, bo i nasza swojska, z codziennego życia wzięta treść umiejętnie obrobiona, może zadowolić i najwybredniejszego konesera, powtarzam nie szukającego nadzwyczajności, bo my już przyzwyczailiśmy się chwalić obce lichoty,



Nowa sztuka Przybylskiego: Zygmunt Przybylski.



Helena Sulima.

publiczności „krotochwilę“, napisaną na wzór lekkich sztuk francuskich, przeniósł na scenę typy swojskie, ożywił nader akcyę i urozmaicił ją odbłyskami prawdziwego humoru. Cel więc osiągnięty. We farsie czy krotochwili, jak ją tam kto chce powiodło, przyznać musi każdy, kto był w teatrze, przeczyć może chyba ktoś uprzedzony, lub autorowi osobiście niechętny. Kaskady śmiechu, rozlegającego się przy każdej niemal scenie, były dostateczną miarą uznania publiczności, która mogła a ganić swoje, — choćby najlepsze usiłowania i prace. Obecnego podczas premiery autora wywoływano kilkakrotnie, a po akcie pierwszym i drugim wręczono mu wspaniałe wieńce i kwiaty.

Z lwowskiego bruku.

(Smutno pomimo wiecu kobiet. — Moje wyznanie wiary. — Ostatnia defraudacya. — Co robić z defraudantem? — Najnowszy dramat Zapolskiej. — Jubileusz znakomitej autorki).

Tak smutno jest teraz na lwowskim bruku, że nawet nie mógł nas rozweselić niedzielny wiec kobiet, zwołany jeszcze ciągle w sprawie reformy prawa wyborczego do ciał parlamentarnych w kierunku dopuszczenia kobiet do głosu. Tak, jakby one dotąd jeszcze nie miały głosu, one, które przecież nas do głosu nie dopuszczają. Jest to smutne, ale prawdziwe, że patrzeć na to musimy, jak kobiety powoli spychają nas do rzędu niewolników, a może jeszcze doczekamy tych czasów, kiedy kobiety, zasiadając już w sejmie, postawią nagły wniosek, aby odebrać mężczyznom prawo wyborcze, bo ich przeznaczeniem i zadaniem jest tworzenie i wychowywanie dzieci oraz kuchnia i porządki domowe.

Niedzielny wiec był dobrą próbką tego, jak wyglądać będą kobiety w parlamencie i sejmie. Utworzyły się już teraz dwie partye, z których jedna drugiej wytykała rozmaite nonsensy, swoją drogą na razie polityczne. Ale co to dopiero będzie, gdy zapaśniczki zabiorą się do wytykania sobie innych błędów tajnych, albo z dziedziny mody. Tego przecież ze spokojem nie wysłucha żadna przeciwniczka, ale po jakiej dobrej chwili cały parlament będzie sobie leżał we włosach.

Już nieraz otwarcie zaznaczyłem, że jestem zwolennikiem zupełnego równouprawnienia t. j. zrównania mężczyzn z kobietami. Jeżeli kiedy w przystępie rozpaczy będę miał się żenić (od czego uchowaj mnie Boże i nadal) to w paktach małżeńskich wymówię to sobie wyraźnie, że niczego więcej nie pragnę, jak tylko praw równych z żoną. Wtedy mi do szczęścia już niczego nie zabraknie, nawet przyjaciółki domu. A za to i za zupełne zrzucenie z siebie trosk o wyżywienie rodziny, o dochody, podatki, kłopoty i służbę wojskową, chętnie zrzeknę się prawa głosowania do rady miejskiej, sejmu i parlamentu. A więc jestem do wzięcia.

Nietylko ja. Jest jeszcze jeden do wzięcia, mianowicie defraudant ze Związku kredytowego, który przez lat kilkanaście defraudował, a teraz namyślają się, co mają z nim robić. Do kryminału go nie oddali, bo ten jest przecież tylko dla waryatów, do Kulparkowa także nie, bo ten jest tylko dla zbrodniarzy, a więc na razie zostawili go na wolnej stopie i namyślają się. Na pytanie, gdzie podział pieniądze, mówi, że przegrał na loteryi, co jest podobno o tyle okolicznością łagodzącą, że pieniądze przynajmniej nie poszły na marne, ale są w skarbie państwa, a więc mniej więcej tyle, co prezent dobrowolny, co prawda nie z własnej kieszeni.

Zagadką, nad którą zastanawiają się wszyscy, jest fakt, że Rada nadzorcza przez tyle lat nadzorowała tę instytucyę i znajdowała wszystko w największym porządku. Tak samo lustratorowie. Teraz mają takie miny, jakby im kto w pysk dał, a więc to, co im się przedtem słusznie należało.

Ale u nas nigdy nie wynagradza się podług słuszności. Chyba, jeżeli chodzi o wystawę. Np. na obecnej wystawie spożywczej rozdzielono same złote i srebrne medale. Wystawa robi bardzo korzystne wrażenie i dodaje apetytu, o ile go kto przedtem nie miał. Patrząc na te smakołyki, prawie wierzyć się nie chce, że zawdzięczamy im tyle katarów żołądkowych i innych przypadłości żołądka. Przed wystawą fabryki cukierków Höflingera, swoją drogą największej i najlepszej w kraju, panie i panny aż się oblizują, a mężczyźni wołają: Pójdź w moje objęcia. O tej wystawie zresztą napiszę jeszcze więcej w następnym liście.

Dziś prosto z wystawy idę do teatru, gdzie już dawno nie byłem, a gdzie właśnie wystawiono najnowszą rzecz pani Gabryeli Zapolskiej, naszej znakomitej i niewyczerpanej Zapolskiej. Tym razem obrała za tło pałacyk szlachecki, gdzie rozgrywa się dramacik cichy, piękny i — bardzo misternie robiony. To koronkowa robota. W pierwszym akcie przypomina się nawet Rostand i jego „Romantyczni“, czy jak chciał kto inny „Romansowi“. Są nawet zgrabne, melodyjne tryolety przy dźwiękach starego kuranta. Nastrój wyborny, poezya płynie ze sceny ciurkiem i podnosi wszystkich. Ale pani Zapolska długo nie poetyzuje, bo w następnych dwóch aktach podaje dalsze koleje swoich czterech figur, w dyalogu wprawdzie jeszcze bardzo subtelnie dzierganym, ale już nie rostandowskim. Pełno tu aforyzmów, ironii, pysznych powiedzeń, subtelnych cieniów — a wszystko razem doskonała rzecz, która powinna długo utrzymać się na scenie.

Największą zaletą ostatniej sztuki pani Zapolskiej jest, jak zresztą we wszystkich jej sztukach, sceniczność, werw, ruch, życie, co nie było łatwem do przeprowadzenia wobec tak szczupłej liczby osób działających i doskonała psychologia, przetkana może kostyczną filozofią i ironią, a jednak prawdziwa i żywa.

Znakomita nasza autorka prawie równocześnie wstąpiła do *Słowa polskiego*, gdzie pomieszczać będzie w odstępach tygodniowych swoje fejletony aktualne, przeważnie na tle obyczajowem i towarzyskiem. W tym roku też obchodzić będzie 25-lecie swojej artystycznej i literackiej działalności, z czem się wcale — jak kobieta — nie kryje...

Zaczynała bowiem w tak młodym wieku, że dziś bynajmniej nie jest niemłodą, a jej prace dzisiejsze tchną tą samą świeżością, co wszystkie jej najlepsze. Z dumą spogląda na swój tak bardzo bogaty dorobek literacki, który jeszcze podwoi, bo ma na to jeszcze dość czasu i woli.

Oba fakty — pisanie dla *Słowa polskiego* i jubileusz wielkiej autorki budzą niekłamany interes w mieście, a w sprawie jubileuszu już nawet planują specyalny obchód. Że zwolenników i entuzyastów znajdzie się wielu, to rzecz pewna, byle samym obchodem zajęli się ludzie powołani. (***)

Helena Sulima.

W bieżącym sezonie powróciła na scenę krakowską dawna ulubienica naszej publiczności p. Helena Sulima, która zaszczytnie dała się poznać za czasów dyrekcyi Józefa Kotarbińskiego. Od dnia 15 maja 1905 przeniosła się na scenę Teatru „Rozmaitości“ w Warszawie, gdzie zaliczona do personalu teatrów rządowych, talentem swym oraz rzetelną pracą zjednała sobie wkrótce ogólną sympatyę bywalców teatralnych i prasy. Postać artystki rysuje się szlachetnemi liniami na scenie, zajmuje i pociąga widza, który z przyjemnością śledzi każde ukazanie się jej w akcyi i stwierdza w każdym momencie dramatu świeże szczegóły inteligentnie obmyślanej i umiejętnie pod względem technicznym przeprowadzonej interpretacyi.. Jest to gra spokojna, skupiona, a bynajmniej nie pozbawiona temperamentu, który wciąż się ujawnia, chwilami nawet wybucha. Ta dyskrecya w używaniu efektów, czyni grę p. Sulimy niezwykle artystyczną. Żywe słowo wychodzi z jej ust zrozumiale, jasno, oparte na dobrej modulacyi głosu, niezbyt może z natury silnego, ale pozwalającego na dobitne podkreślenia głównego wątka myśli. Pozy, ruchy i gesty artystki mają swoją estetykę szlachetną i oryginalną. Wogóle wrażenie gry p. Sulimy jest jak najlepsze. Świeże tchnienie, jakie płynie z tej gry, świadczy o prawdziwym talencie, który na scenie oddycha samodzielnem życiem i posiada swój wdzięk odrębny i ujmujący. Pozyskanie artystki dla sceny krakowskiej spotkało się też z należytem uznaniem ze strony teatralnej publiczności, która zapisała je „w plusach“ budżetu artystycznego na rzecz krakowskiej dyrekcyi.

U wrót śmierci

Powieść wysnuta z aktów paryskiego archiwum karnego, przez M. Level'a.

14 Ciąg dalszy.

— Ależ zapewniam, że pana niema w domu...

— O, to bardzo przykre, a nie wie pani kiedy powróci?

— Nic nie wiem; już czwarty dzień jak wyjechał, może lada chwila wróci.

— A ja mam taki ważny interes do pana Coche'a...

— Cóż robić? niech pan wejdzie i napisze, a może szczęśliwym trafem powróci tymczasem.

— Dobrze, wejdę i poczekam chwilkę.

Wszedł do gabinetu Coche'a, namyślając się, jak ma zacząć rozmowę, lecz posługaczka wybawiła go z kłopotu, sama bowiem zaczęła mówić:

— Już czwarty dzień jak pana niema. To dziwne, bo zawsze uprzedza o swym wyjeździe. Nadeszło kilka listów, a nawet depesz, przychodzą znajomi, a ja nie wiem, co mam powiedzieć.

— Może pojechał do rodziny?

— O, z pewnością nie, walizka przecież pozostała.. A przytem wyjechał w taki dziwny sposób.

— Czy pani widziała, jak odjeżdżał?

— Nie, gdym przyszła tu rano, zastałam łóżko niepościelone, ubranie wizytowe rozrzucone na krzesełkach. Wszystko uporządkowałam, poczyściłam. Zadziwiło mnie to, ponieważ pan wychodzi zwykle dopiero o jedenastej. A przytem przyszło mi na myśl, bo musi pan wiedzieć, że pan Coche miał już pojedynek, że i teraz się bił.

— O, tak pani sądzi? przecież wiedziałbym.

— I ja teraz wątpię, w pierwszej jednak chwili tak mi się zdawało. Pan Coche zawsze taki staranny, jak pan wie, kiedy jest jego przyjacielem...

— O, tak, tak — pospieszył potwierdzić Javel — bardzo staranny.

— A teraz miał gors powalany krwią i...

— I?... — zapytał ajent niezwykle zainteresowany.

— Mankiet od koszuli był zupełnie pognieciony, rozerwany i brak było jednej spinki, o które pan zawsze tak dbał...

— Złote spinki z turkusami?

— Nie wiem, jak to się nazywa.

— Jakież one były?

— Miały takie małe niebieskie kamyki...

Tutaj Javel przerwał jej opowiadania; wszystko, co mogła jeszcze opowiedzieć, nie miało już znaczenia dla niego wobec tych dwóch najważniejszych faktów, krwi na koszuli i zgubienia spinki, której opis odpowiadał najzupełniej spince znalezionej w tamtym pokoju.

Wszystko to wydało mu się tak nadspodziewanem, iż bojąc się, by nie był to tylko dziwny zbieg okoliczności, chciał sam o wszystkiem przekonać się. To też, ukrywając zdziwienie, zapytał:

— A czy pani tego pewna jest?

— Jakto, czym pewna? Jeżeli pan zna te spinki, może się sam przekonać. Umyślnie zachowałam tę koszulę, by pan Coche nie sądził przypadkiem, żem ja te spinki wytrząsnęła. Zaraz panu pokażę.

Lecz zaledwie weszła do sypialnego pokoju, gdy naraz zawołała zdziwiona:

(Ciąg dalszy nastąpi).

NADESŁANE.

(Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

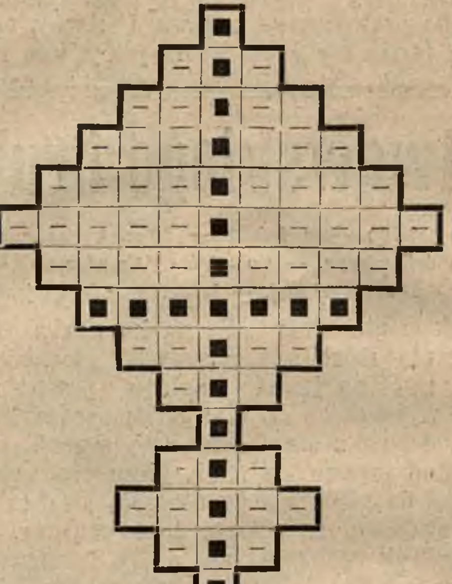
Ułożył A. Dzierżanowski z Zielonej.

Do odgadnięcia, macie wyraz trójzgłoskowy,
Którego ja, atoli na *zgłoski* nie dzielę, —
Określenie całości stawiając na czele
Zaznaczę krótko: twór ten, to nie tylko cielę,
Ale całego ciebie, miły Czytelniku,
Przy dobrym apetycie zmieściłby w przełyku!
Cały zaś, krótki wyraz, z trzech słów da się złożyć:
— Gdy *pierwszy* w ważnych rzeczach zamyślasz położyć,
Uważaj, by się *drugie* z twych ust nie wyrwało,
Jeśli właśnie ten pierwszy źle był obmyślany!
Końcowy wyraz *trzeci* mieszczą w sobie ściany
Wiejskich małych budynków z drzewa, nie z kamienia —
Oto — co do szarady trzeba odgadnienia!

Logogryf.

Ułożył Izydor Zirler, Rohatyn.

Kwadraty i kreski tak zastąpić literami, aby litery środkowe, czytane z góry na dół dały nazwisko i imię sławnego powieść opisarza-naturalisty polskiego, w ósmym rzędzie zaś tytuł jednej z jego powieści.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Zwierzę drapieżne (żyje w Karpatach). 3. Myśliciel. 4. Kraj na Węgrzech. 5. Imię męskie. 6. Poezye Nowickiego. 7. Inaczej kłamstwo. 8. ?? 9. Imię biblijne męskie. 10. Zwierzę drapieżne (z rodziny psów). 11. Samogłoska. 12. Góra w Grecyi. 13. Tytuł poezyi Żuławskiego. 14. Rzeka w Szwajcaryi. 15. Spółgłoska.

Logogryf.

Ułożył L. G. ze Zwierzyńca.

Z następujących sylab: a, a, a, an an, be, ce, dy, gat, gła, i, jer, ka, ka, kin, lo, lo, ma nja, nar, nad, ni, ny, po, pa, rot, re, re, ra, ran, sza, skie, te, te, tet, to, ty, us, wa, york, yard, ze — ułożyć należy siedmnaście wyrazów, których początk we litery czytane z góry na dół utworzą znane przysłowie.

Znaczenie wyrazów: 1. Kwiat górski. 2. Cieśnina w Europie 3. Zwierzę. 4 Arcydzieło Jana Styki. 5. Miasto w Anglii. 6. Pasmo gór w Europie. 7. Pierwiastek chemiczny. 8. Miasto w Grecyi. 9. Ryba morska. 10. Rzeka w Szwajcaryi. 11. Bóg grecki. 12. Miara angielska. 13. Powieściopisarz polski. 14. Postać biblijna. 15. Imię męskie. 16. Materjał budowlany. 17. Kraj w Azyi.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania Gastona Leroux: **»Tajemnice żółtego pokoju«**, Lwów, nakład Altenberga.

Rozwiązanie zagadek z Nru 39.

Szarada.

Kaz'miera.

Logogryf.

Zeromski.

Szarada.

Jeleń.

Szarada.

Kalina.

Arytmogryf.

Wiśniowski, Kapuściński.

Logogryf.

Eliza Orzeszkowa, Marya Konopnicka.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: O. Górkowa Chyrów, J. Wilczek Krzyżtoporzyce, J. Bonierski Kraków, Tow. »Sokół« Dynów. Z. de Boulangé Gawłówek, W. Chajec Moderówka, F. Ratyński Janów, A. Drąg Limanowa, M. Kuzia Wadowice, T. Kawa Stanisławów, J. Januszewski Podgórze, J. Augustynowicz Żywiec, E. Załulińska Olszanica, J. Ziomber Stanisławów, J. Dickmannowa Pilzno, S. Jasińska Bełzec, W. Spirydowicz Stara Sól, W. Samborski Kraków, L. Złochowski Zaleszczyki, M. Grzędzielski Lwów, Pojata Warszawa, M. Rożański Lipinki, J. Gomulińska Bóbrka, J. Mardarowicz Kołomyja, M. Stachowicz Kraków, S. Kozłowski Lubaczów, A. Zimmerowa Mikulińce, M. Witkowska Łańcut, Wyszatycki Jarosław, W. Laskowski Warszawa, Talaga Mokrzyszów, ks. J. Dulian Padew, S. Staf Podwołoczyska, M. Opolska Czarny Dunajec, H. Zielińska Manajów, A. Jukiel Jasło, H. Pawłowska Bóbrka, F. Pisarzewski Tartaków, J. Wielgus Wadowice, S. Kopfowa Tarnów, Z. Gaudnik Stary Sącz, A. Bocsoń Bóbrka, K. Jurkiewicz Gwoździec, K. Schnitzel Tarnów, W. Zajączkowski Kraków, A. Mussil Lwów, W. Stanula Samocice, K. Małek Kołaczyce, E. Merson Rzepedź, B. Szajkowski Warszawa, J. Snusz Tarnów, M. Śmiszczowska Swoszowice, J. Młodzianowska Przeworsk, K. Fuchs Czeremchów, L. Dąbrowski Lubatówka, M. Serbeńska Budzanów, J. Badura Roździeń, M. Stebnicka Przemyślany, M. Radlmesser Swoszowice, S. Skodówna Stróża, A. Rotter Stanisławów, M. Arbesbauer Lwów, L. Maruszczak Chodorów, B. Ramułtowa Jeżów, J. K. Januszewski Podgórze, G. Adam Lwów, H. Ptaszyńska Lwów, A. Nikosiewiczowa Krzywe.

Nagrodę przez losowanie otrzymał M. Grzędzielski Lwów. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.

Od Redakcyi.

W. Pan E. Niedźwiecki, Gliniany: Administracya nasza wysyła Szan. Abonentom numery zupełnie czyste, dopiski więc ołówkiem, na które się W. Pan uskarża, zrobione są gdzieś w drodze, prawdopodobnie na poczcie. Prosimy zwrócić się z zażaleniem do Urzędu pocztowego. Kraków-dworzec jako ekspedyującego.